Wychodzi od 1933 r.

Kamena

LUBLIN 12.IX.1971 Nr 19 (478) • DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

W numerze m. in. piszą:

Paweł Dąbek
Józef Prutkowski
Jerzy Wittlin
Bohdan Zadura
Stefan Zarębski

Dni Majdanka: „Dziecko w obozie"

Boją się snów...

Elżbieta Rosiak

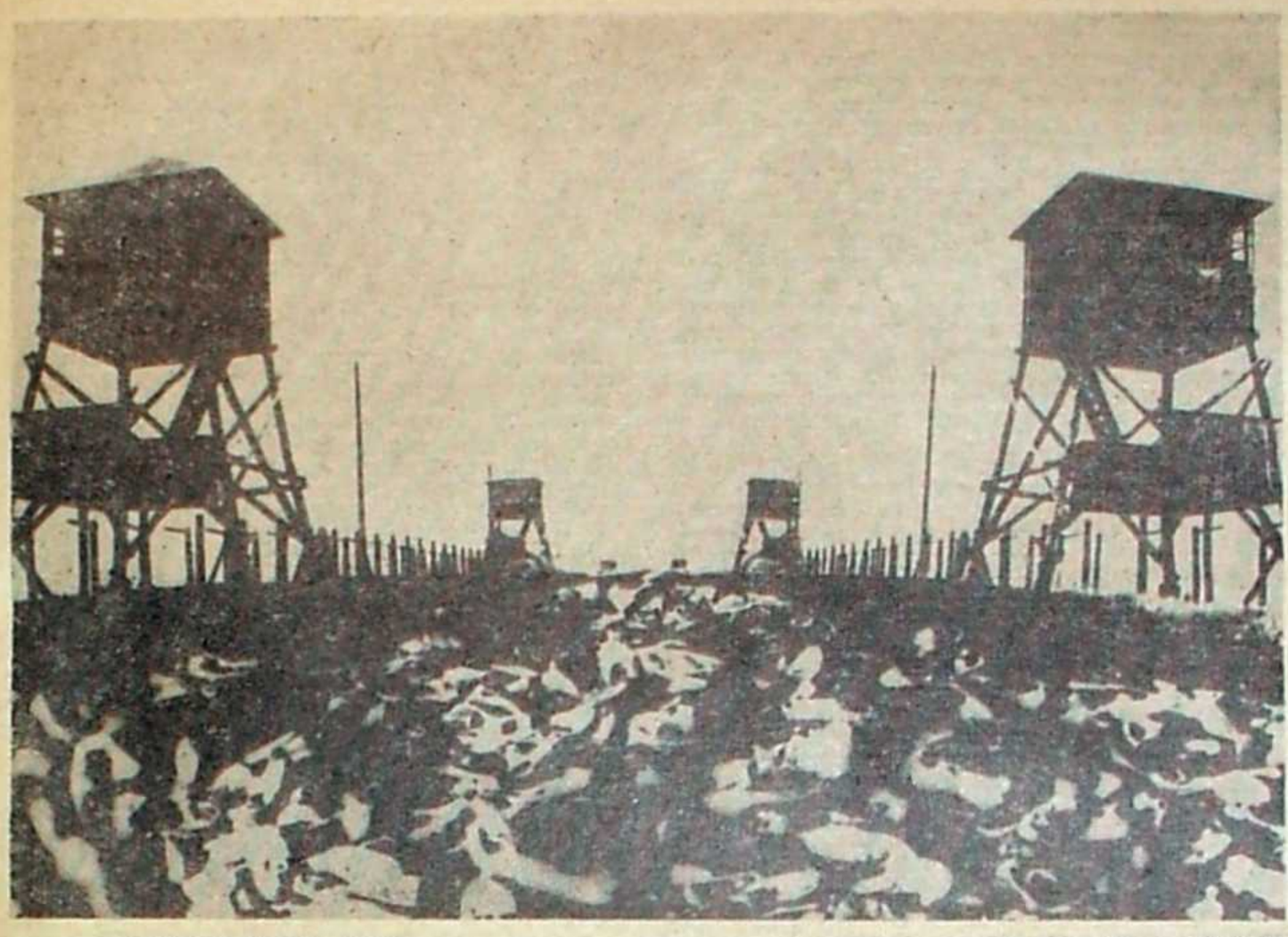

Największą zbrodnią świata jest zbrodnia popełniana na dzieciach.

Fot. A. Jałowiński

Tegoroczne „Dni Majdanka" obchodzone są pod hasłem „Dziecko w obozie". Człowiekowi przeglądającemu artykuły dotyczące tego problemu, przyczynki naukowe i wspomnienia b. więźniów lubelskiego obozu mimowoli przypomina się umieszczona tu jako motto myśl Teodora Dostojewskiego. Ale pióro prozaika o światowej sławie kreśliło tragedię nielicznych dzieci. Jakie więc kryteria oceny moralnej i prawnej trzeba zastosować w stosunku do zbrodni, którą popełniali hitlerowcy w skali masowej na dzieciach zamkniętych za drutami obozów?

W rozkazie Himmlera dla SS z dnia 6 stycznia 1943 r. czytamy m. in.:

W czasie akcji skierowanych przeciwko bandom należy zebrać wszystkich podejrzanych o udział w bandach mężczyzn, kobiety i dzieci — i w grupach transportowych wysłać do obozów w Lublinie i Oświęcimiu. Wyżsi dowódcy SS i policji uzgadniają te transporty z dowódcą policji bezpieczeństwa, z szefem Głównego Urzędu Gospodarczego i Administracyjnego SS w porozumieniu z dowódcą policji bezpieczeństwa i SD. Proponuję utworzenie w Lublinie obozów zbiorczych dla dzieci i wyrostków. W obozach tych ma nastąpić selekcja rasowa i polityczna. Wyrostki rasowo bezwartościowe, płci męskiej i żeńskiej, należy przekazać w charakterze uczniów do zakładów gospodarczych obozów koncentracyjnych. Dzieci te należy wychowywać a przedmiotem nauki ma być wyrobienie posłuszeństwa, pilności, bezwarunkowego podporządkowania i uczciwości niemieckich panów. Dzieci muszą nauczyć się rachować do stu, rozpoznawać znaki drogowe i być przygotowane do zawodu robotnika rolnego, ślusarza, kamieniarza, stolarza itd. Dziewczyny należy przyuczać do pracy jako robotnice rolne, szwaczki, tkaczki, dziewiarki i do podobnych prac.

Wśród strat, jakie poniósł naród polski w okresie okupacji, poważną liczbę stanowiły właśnie skazane na eksterminację dzieci i młodzież. Ginęły nie tylko na Majdanku, w Oświęcimiu, Treblince, Lubawie, ale i w obozach przesiedleńczych, obozach pracy, podczas egzekucji, w częściowych i całkowitych pacyfikacjach. Znamy także obozy, które zorganizował okupant wyłącznie dla dzieci, chociażby Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmanstadt czy wspomnianą wyżej Lubawę, znamy też zbrodnie dokonane na około 30 000 dzieci wysiedlonych z Zamojszczyzny.

Dokończenie na str. 4—5

Pokolenie oryginalnych i utalentowanych

Stefan Maciejewski

MINIONE dziesięciolecie przyniosło bułgarskiej literaturze szereg osiągnięć, wzrost jej rangi i zainteresowania nią w innych krajach — wśród nich także Polski.

Nasze wydawnictwa w ostatnich latach zaprezentowały czytelnikom szereg książek o wysokich walorach artystycznych, dających względnie pełny obraz możliwości twórczych pisarzy bułgarskich. Wprawdzie umknęło uwadze wydawców kilka pozycji wybitnych, lecz — sądząc po planach wydawniczych — i one niebawem zostaną przełożone na język polski.

Właściwa percepcja literatur obcych w dużym stopniu uzależniona jest od jej popularyzacji, rzec by można reklamy. Niestety na tym polu nie dzieje się najlepiej — i to zarówno w odniesieniu do literatur innych krajów socjalistycznych, jak i bułgarskiej. Brak jest recenzji oraz publicystyki, podejmującej zagadnienia ruchu literackiego w Bułgarii. Tu tkwi główna przyczyna niedoceniania tej literatury i ograniczania szans jej popularności w kręgach polskich czytelników. A szkoda, ponieważ przełożone na język polski książki takich pisarzy bułgarskich, jak: Emiliana Stanewa („Wojna z aniołem", „Smutna miłość"), Geneczo Stoewa („Cena złota"), Jordana Radiczkowa („Blaszany kogucik"), Georgi Markowa („Mężczyźni", „Sanatorium doktora Gospodina"), Pawła Weżinowa („Smak gorzkich migdałów"), Kamen Kałczewa („Dwoje w nowym mieście"), Antona Donczewa („Czas wyboru"), czy zmarłego przed kilku laty Dimitra Dimowa („Tytoń") — przy właściwej popularyzacji znalazłyby szerokie kręgi odbiorców. Bowiem beletrystyka bułgarska, zwłaszcza ostatniego dziesięciolecia, ma się czym poszczycić, a w swej produkcji najbardziej dojrzałej nie ustępuje żadnej z innych literatur obozu socjalistycznego.

Prezentowany szkic stawia sobie za zadanie częściowe zapełnienie istniejącej lukę w zakresie informacji o życiu literackim Bułgarii w ostatnich dziesięciu latach.

Pierwsze lata Ludowej Bułgarii stanowią w jej literaturze z jednej strony kontynuację realizmu krytycznego lat międzywojennych — reprezentowanego przez twórczość takich wybitnych pisarzy starszego pokolenia, jak Ludmiła Stojanowa, Georgi Karasławowa, Angeła Karalijczewa, Swetosława Minkowa, a z nieżyjących Dimitra Dimowa, Dimitra Talewa oraz klasyków tej miary, co Jordan Jowkow i Elin Pelin — z drugiej: kształtowanie się, w atmosferze ideowych i literackich sporów, realizmu socjalistycznego z całym zestawem właściwych sobie wzorów, schematów, uproszczeń i nietolerancji w stosunku do innych poszukiwań w tej dziedzinie sztuki. Socrealizm podpierany oficjalną polityką kulturalną, spod której coraz to jawniej wyłaniał się cień kultu jednostki przybrany w togę dogmatyzmu — spowodował znaczne zahamowanie twórczej aktywności pisarzy. W tym czasie daninę dogmatyzmowi i schematyzmowi przyszło płacić najlepszym pisarzom wszystkich pokoleń. I tak działo się mniej więcej do 1952 r., kiedy to rok wcześniej wydana epopeja krachu bułgarskiego kapitalizmu i walki proletariatu o socjalistyczną Bułgarię pt. „Tytoń" D. Dimowa przerwała at-

Dokończenie na str. 8

„Siłacz polski"

Ireneusz J. Kamiński

STO dolarów dawał mi jeden z Ameryki, ale nie wolno mu przewieźć przez granicę, to i nic z tego nie wyszło — mówi z goryczą. W welwetowym brązowym ubraniu, koszuli zielonkawej, szczupły i wiekiem pokreślony na urodziwej dziś jeszcze twarzy, siedzi przy biurku kierownika referatu kultury włodawskiej rady narodowej, zwięźle odpowiadając na pytania, coraz samemu zasięgając języka w sprawie ważnej, chyba najważniejszej dla niego. A Antoni Kuczewski, szef urzędu kulturalnego, potakuje głową, „trzeba robić, trzeba robić", zachęca obywatela ze wsi małej włodawskiej, który nie pierwszy już raz tu gości, bo rzecz idzie o sztukę, o rzeźbę w kamieniu, a wiadomo, że Kuczewski artystów ludowych hołubi, wystawy im urządza, kupuje to i owo z myślą o przyszłym Muzeum Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego, zamierzonym w remontowanej od trzech lat byłej synagodze, zabytkowej, jak i miasto Włodawa, na nadbużańskiej skarpie leżące. Ministerstwo Kultury i Sztuki już w 1967 roku wyraziło zgodę na zorganizowanie takiej placówki, ale brak środków, brak wykonawców — przeszkody „banalne" — opóźniają remont i dużo jeszcze wody w Bugu upłynie, nim orkiestra domu kultury obwieści otwarcie przybytku.

— To więzienna robota, w otoczaku robię, a to twarde i kruche, ale idzie mi, jak z płatka. Ja mogę w konkurencji stanąć z każdym z całej Polski, ja daję 20 tysięcy i niech zrobi, jak ja!

— Ma pan tę rzeźbę?

— Sulimierski z domu kultury zabrał na ogląd. Może ją pomalować?

— Nie! — żachnął się Kuczewski, stary zbowidowiec, od dziesięciu lat kierujący włodawską kulturą.

— Nie, to nie... Mnie tam sama rzeźba nie interesuje, mnie chodzi o materiał, żeby ślad na nim zostawić, a to takie trudne, chociaż rzeźby małe, o takie — łapie między dłonie wysokość 20 centymerów. — Jak powiedzieli, że się podoba, życie mi wrócili.

Bodaj rok temu do Zaświatycz zjechała ekipa Muzeum Wsi Lubelskiej, więc Adam Weremczuk do niej z kamienną płaskorzeźbą przystąpił, która dziwne wizerunki przedstawiała, i powiedział że znalazł toto w wyschniętej sadzawce. Kamień trafił do Lublina, 1200 złotych nagrody do kieszeni Weremczuka.

— A mnie jeden z Ameryki 100 dolarów dawał, a kamień sam zrobiłem, w żadnym stawie nie znalazłem, tylko tak powiedziałem. Cztery rzeźby już mam, przez rok zrobiłem, ciężka to praca, więc pytam, za ile kupią ode mnie, bo jeśli niska będzie cena, to mi się nie opłaci robić. Gospodarki nie mam, tylko pół hektara wody z rybą.

Cisza jakaś napięta zapanowała w referacie kultury, zajmującym pokój o powierzchni 7 metrów kwadratowych, prawie tyle, co niejedna gromadzka biblioteka, lecz znacznie, znacznie więcej niż mają punkty biblioteczne powiatu włodawskiego, ściśnięte w prywatnych mieszkaniach. W samą porę telefon zaterkotał. „Pani Zosiu, do pani Sławatycze" — zawołał kierownik Kuczewski do sąsiadki z pobliskiego pokoju (z szyldem innej instytucji), po czym parafkę położył na delegacji, z którą wpadł właśnie jakiś urzędnik.

Odwagę w sobie zbieram: — Panie Weremczuk, z rzeźby pan nie wyżyje, tysiąc dwieście to góra, rzadko osiągalna.

— A mnie jeden z Ameryki...

— To niech pan przyniesie do nas swoje rzeźby, wystawę organizujemy razem z kiermaszem, może ktoś kupi. Szkodzińskiego, Płaczka i pana prace chcielibyśmy pokazać. A najlepiej niech pan przyjdzie tu po jedenastej, właśnie jedziemy z redaktorem w teren, to i do pana podskoczymy — ucina rozmowę Kuczewski. Czujny, rutynowany. Do zobaczenia za półtorej godziny, szef włodawskiej kultury biegnie na spotkanie prezydium rady powiatowej z przewodniczącymi gromadzkich rad narodowych.

* * *

Fryzjer Podgórski pachnie nowoczesnością, zaleca się do dam ondulacją wodną, parową i nylonową. Kamiński zaś, którego zakład bliżej centrum jednak, choć przy tej samej ulicy, szyld tylko wielki z nazwą przybytku wywiesił. Co tu się zresztą nadmiernie reklamować, klienteli nie brakuje, bo przecież zakłady garbarskie już w budowie: 1200 ludzi zatrudnią, 360 milionów złotych będą kosztować. Ruch w mieście niebywały, doczekała się wreszcie Włodawa wielkiej inwestycji, a z nią jakiejś człowieczej perspektywy na poprawę własnego losu, który do niedawna taki jakiś szary był, popędzający młodzież do ucieczki z włodawskich opłotków, zamamłany jak to błoto w kocich łbach rynkowego placu, jeszcze niedawno witające przybyłych do miasta autobusem PKS. Kocie łby kryje dziś asfalt.

A z asfaltu wyrasta pomnik projektu warszawskiej artystki, pomnik czynu zbrojnego, monument na skalę stołecznego Placu Konstytucji, rozrywający zduszoną przestrzeń włodawskiego ryneczku, na którym sto i dwieście lat temu, a nawet jeszcze przed ostatnią wojną handel wołem i krową kwitł, obecnie zaś kwitnie piękna mowa polska, nadawana przez rozkołysanych chłopaków w wieku różnym, co to sympatię swoją do niewiast potwierdzają serdecznym klepnięciem w pierwszą krzyżową. Wrzawa też wielka w spoconym tłumie letników szturmujących autobus, zmierzający nad pobliskie jezioro Białe, gdzie

Dokończenie na str. 3

teatrnn.pl

Kultura 1971

Zmarli

* Jan Gerhard (tragicznie), poseł na Sejm PRL, pisarz, publicysta, członek Związku Literatów Polskich, naczelny redaktor tygodnika „Forum".

* Władysław Kiernik, zasłużony działacz ruchu ludowego i niepodległościowego, wiceprezes Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia".

* Amerykański reżyser filmowy Herbert J. Biberman. W roku 1949 został on skazany na rok więzienia za tzw. wówczas działalność wywrotową i „obrazę senatu". Dopiero w 1953 r. dzięki pomocy górników mógł nakręcić swój głośny film „Sól ziemi", ale następny — „Niewolnicy", wyświetlany właśnie w Polsce, mógł zrealizować dopiero po 14 latach.

Literatura

* Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazały się dwa tomy „Dzieł zebranych" Edwarda Szymańskiego, barda warszawskich robotników, który sam był robotnikiem. Zginął w Oświęcimiu.

* PIW oddał do druku 600-stronnicowy tom listów Tadeusza Boy-Żeleńskiego w opracowaniu dr Barbary Winkiowej. Przygotowuje się także ostatni już tom jego „Pism".

* Popularny felietonista Stefan Wiechecki — Wiech, który stworzył osobną kartę w naszej powojennej literaturze, obchodził 75-lecie urodzin.

* W Związku Radzieckim literatura piękna pod względem liczby tytułów stanowi dziesiątą, a pod względem nakładów trzecią część rocznej produkcji książek. Po rewolucji np. dzieła Puszkina ukazały się 2228 razy w łącznym nakładzie 120 970 tys. egzemplarzy, a Lwa Tołstoja 2148 razy w nakładzie 129 481 tys. egzemplarzy. Z autorów polskich największym powodzeniem cieszy się Mickiewicz, którego książki wydano 71 razy w nakładzie 1771 tys. egzemplarzy.

* W Madrycie ukazała się antologia opowiadań 20 współczesnych pisarzy krajów arabskich — ZRA, Syrii, Libanu, Palestyny, Jordanii i Iraku. W Szwecji ma się ukazać kilka tłumaczeń różnych powieści autorów arabskich.

Teatr

* Kierownictwo teatru Berliner Ensemble objęła reżyserka Ruth Bergnaus. Wystawiała ona wiele spektakli na różnych scenach, w tym także w założonym przez Brechta Berliner Ensemble.

* Toruński Teatr Lalki i Aktora jest chyba jedynym teatrem polskim, który nie przerwał występów w lipcu i w sierpniu. Po prostu zespół podzielono na dwie części, z których jedna grała, a druga wykorzystywała urlop. Przedstawienia odbywały się głównie na koloniach i półkoloniach. Gdyby i inne teatry postępowały podobnie...

* Warszawski Teatr „Ateneum" wystawił sztukę Stanisława Ignacego Witkiewicza „Szewcy" w reżyserii Macieja Prusa.

* W listopadzie Teatr Wybrzeża w Gdańsku wystawi sztukę Tadeusza Gajcego „Homer i Orchidea". Sztuką tą teatr przed 25 laty rozpoczął swoje istnienie, obecnie zaprezentuje ją na swój jubileusz.

* W czasie ostatnich 10 lat liczba widzów w teatrach Budapesztu zmniejszyła się o 25 proc., czyli o milion osób; tradycyjna formuła teatru nie tylko u nas przechodzi kryzys. Największą popularnością cieszyły się w ub. roku sztuki węgierskiego klasyka, Zygmunta Moricza; znaczną liczbę przedstawień miała też „Warszawska melodia" Zorina.

* Dwa indyjskie zespoły teatralne wystawiły równocześnie „Operę za trzy grosze" Bertolta Brechta.

* Prawie sześćset lat nieprzerwanie istniał w Turcji teatrzyk cieni „Karagoz", w którym występowało dwóch dowcipnisiów i mędrków z ludu, zawsze ostro rozprawiających się z aktualnymi przywarami. W obecnych warunkach Turcji teatr musiał się jednak rozwiązać. Ale kabaret „Wielbłąd" dramaturga Halduna Tanera i „Teatr uliczny" satyryka Azisa Nesina usiłują przejąć najistotniejsze elementy zlikwidowanej placówki.

Sztuka

* W Lądzie nad Wartą odkryto resztki murów oraz różne inne przedmioty z XI i XII wieku. Archeolodzy spodziewają się, że będą mogli zdobyć nowe wiadomości o mieszkającym tu niegdyś historycznym plemieniu Lędzian.

* W Kołaczkowie w powiecie Września przystąpiono do kapitalnego remontu dworku, w którym w latach 1920—1925 mieszkał Władysław Reymont. Będzie się tu mieścił dom pracy twórczej Związku Literatów Polskich.

* Krakowskie Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych ofiarowało 40 obrazów oraz 8 kolorowych litografii klubowi polonijnemu w Kopenhadze.

* Nad brzegami jeziora Sewan w Armenii odkryto liczne fragmenty czarnej ceramiki, złotych ozdób kobiecych, srebrnych pucharów, mieczy, noży itp. Świadczy to, że przed 4—5 tysiącami lat znajdowały się tu liczne osady, zatopione później przez jezioro, w którym podniosła się woda po zamuleniu jedynego przedtem odprowadzenia wód.

* Opublikowane we Francji „Życie artysty" Maurice Rheims, to książka o warunkach życia i pracy artystów nie tylko we Francji, ale w wielu krajach świata. Autor usiłuje odpowiedzieć na pytanie, czy artysta — „gwiazda", na której spekuluje się dzisiaj, jak dawniej spekulowało się na politykach (czego dowodem była osoba Napoleona) — jest obecnie szczęśliwszy niż dawniej? Czy łatwiej mu było żyć w zaciszu swego atelier i czy sytuacja ta była korzystniejsza dla powstawania dzieł sztuki? Książka wykazuje głęboką znajomość zagadnienia, a ponadto jest oparta na bogatym podłożu anegdotycznym, co czyni ją niezwykle barwną i ciekawą.

* „Moją pasją jest pedagogika. Uczyłbym nawet wtedy, gdyby mi nie płacono za to jednego grosza. Nie produkuję przy tym żadnej szkoły. Zaszczepiam swoim uczniom niepokoje twórcze, konieczność samodzielnego myślenia i podejmowania twórczego ryzyka" — powiedział artysta szkopiański Tadeusz Brzozowski, docent PWSSP w Poznaniu, mający za sobą około 200 wystaw w kilkunastu krajach.

Muzyka

* W końcu sierpnia na międzynarodowym festiwalu w Taorminie na Sycylii przebywał stuosobowy zespół Wielkiej Orkiestry Symfonicznej PR i TV w Katowicach, dając 11 koncertów.

* Kaszubski zespół muzyczny, znany nam z festiwalu w Kazimierzu, występował ostatnio w Czechosłowacji, głównie w skupiskach Polonii.

* Filharmonia Krakowska została zaproszona do Iranu na 2500 rocznicę powstania tego państwa. Po drodze wystąpi w Libanie. W programie wyłącznie utwory polskich kompozytorów.

* Operetka Dolnośląska przygotowuje na sezon musical „Kariera Nikodema Dyzmy", oparty na słynnej powieści T. Dołęgi-Mostowicza.

* Zespół „Amazonki" pod kierownictwem Jana Janikowskiego wyjechał do Berlina, gdzie występuje w rewii z udziałem wybitnych artystów estrady z całej Europy.

* Piosenka Rembowskiego i Ficowskiego „Jadą wozy kolorowe" ukazała się w Paryżu w opracowaniu francuskim i została nagrana na płytę „Philipsa" w wykonaniu — Heleny Majdaniec. Natomiast „Orkiestry dęte" Rzeczkowskiej i Stanisławskiego ukazały się w nagraniu dwóch piosenkarek holenderskich.

* W Mariańskich Łaźniach zakończył się XII Festiwal Chopinowski. Pierwszą nagrodę otrzymała 20-letnia studentka praskiego konserwatorium Jarosława Vitova.

* W połowie października na afisz teatru im. Federico Garci Lorki w Hawanie wchodzi „Halka" Moniuszki. Inicjatorką, reżyserką i odtwórczynią głównej roli będzie polska śpiewaczka Maria Foltyn.

* Zamieszkała w Anglii Galina von Meck, kuzynka Piotra Czajkowskiego, wydała książkę pt. „Listy do rodziny". Zawiera ona mało znaną korespondencję kompozytora z jego kuzynką Nadieżdą, babką Galiny, z którą zresztą Czajkowski ani razu nie spotkał się osobiście.

Film

* Na festiwalu w Locarno jedną z pięciu najwyższych nagród zdobył film polski „Znaki na drodze" Piotrowskiego.

* Co tydzień w kinie „Muranów" w Warszawie będą prezentowane na dużym ekranie polskie filmy telewizyjne.

* Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej przygotowuje dwa seriale przygód Bolka i Lolka — jako bohaterów najpopularniejszych bajek świata oraz w przygodach typu westernowego.

* Beata Tyszkiewicz zagra panią Hańską w telewizyjnym filmie o Balzaku. Rolę pisarza zagra aktor francuski G. Wilson.

* W Caracas (Wenezuela) odbył się pokaz filmów J. Kawalerowicza.

* Gina Lollobrygida przegrała przed sądem zachodnioniemieckim proces o odszkodowanie, wytoczony przez nią tygodnikowi „Quick" za opublikowanie jej dwóch listów, napisanych kiedyś do znanego chirurga Christiana Barnarda.

* W USA władze zażądały, aby w 150 miastach zaprzestano wyświetlania filmu „Ostatni lot", który jest swego rodzaju instruktażem, jak szantażować towarzystwa lotnicze i samolot w locie.

Różne

* Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne jest niezwykle czynne. Posiada 18 oddziałów i sprawuje patronat nad 52 społecznymi ogniskami artystycznymi oraz 22 towarzystwami regionalnymi, ponadto roztacza opiekę nad twórcami ludowymi oraz prowadzi działalność wydawniczą.

* W estońskim kołchozie Kalevipoeg odsłonięto pomnik akordeonisty (jedyny tego rodzaju na świecie) Augusta Teppo, który był znakomitym muzykiem, a jednocześnie wykonał ręcznie 250 harmonii.

* Z inicjatywy Ell Fitzgerald i Binga Crosby, którzy ofiarowali potrzebne pieniądze, w Nowym Orleanie stanie pomnik zmarłego niedawno Louisa Armstronga.

* 57-letni pisarz francuski Pierre Daninos, autor znanego u nas „Notatnika majora Thompsona", powiedział w wywiadzie: „Jestem humorystą, a humorysta jest dzieckiem, które śpiewa, by dodać sobie odwagi podczas przechodzenia przez ciemne korytarze. To, co ludzie nazywają u mnie humorem, jest bez wątpienia obsesją i swoistą manierą widzenia rzeczy. Uznaje się mnie za moralistę, nie mogę powiedzieć, by twierdzenie to głaskało moją miłość własną. Ale jeżeli już tak bardzo się przy tym upieracie, to powiem tylko to, co mówią dzieci: nie robiłem tego umyślnie".

* 63-letni karykaturzysta angielski Nicolas Bentley wydał poczet 52 monarchów Królestwa Wielkiej Brytanii. Podobno największe zamówienie na album nadeszło z pałacu królewskiego.

— Moją jedyną miłością jest Szekspir — zapewnia rozsądnie Julie Christie, jedna z ostatnich odkryć filmu angielskiego. Wierzymy jej na słowo. Ma 23 lata.

Kamena str. 2

Oddychając bez kadzidła

Marek Adam Jaworski

„KOGO bić i za co?" Tak zatytułował Robert Jarocki swój interesujący artykuł zamieszczony na łamach „Współczesności" (nr. 17 — 348). Pozwolę sobie zacytować jeden fragment:

Głęboko zapadły mi w duszę słowa pewnego spawacza, na jednym z zebrań w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni: — Niech dziennikarze piszą krytycznie o źle pracujących robotnikach, ale najsamprzód — żądał, piszcie o źle pracujących ministrach, dyrektorach generalnych, gospodarzach województw, miast, profesorach, doktorach, kierownikach i szefach. Jak potraficie udowodnić, że ci panowie na społecznym świeczniku dobrze spełnili swój obowiązek właściwej organizacji pracy i warunków życia dla prostego człowieka, to każdy przeciętny człowiek poprze prasę w krytyce dotykającej tych, którzy nie mają już pod sobą nikogo, komu mogliby rozkazywać.

Z innej wypowiedzi w Gdańskiej Stoczni Remontowej: — Pyta pan dlaczego nie szanujemy dziennikarzy? Bo oni stosują dwie miary. Jedną dla maluczkich, drugą dla wielkich. Pierwszych poniżają, drugim lubią się przypochlebić.

Gorzkie słowa. Ale w klimacie przedgrudniowych kazań, odczytywanych, bo przecież nie wygłaszanych, z ambon przystrojonych czerwonym płótnem, a później powielanych w setkach tysięcy egzemplarzy na łamach prasy czy broszur i dziennikarz mógł się odurzyć kadzidlanym dymem. Przypięcie komuś etykietki „rozrabiacza", bywało równoznaczne z otrzymaniem wilczego biletu (casus: Stanisław Harasimiuk). Oczywiście można z tego wyciągnąć wniosek, że najłatwiej być oportunistą. Ale... I tu powołam się na wypowiedź Karola Małcużyńskiego, który na czerwcowym VIII Zjeździe SDP rzucił bardzo charakterystyczne słowa:

W poprzednich latach wśród najbardziej aktywnych, najlepszych ludzi naszego środowiska (dziennikarskiego) narastało przygnębiające i deprymujące przekonanie, że mówienie o pewnych sprawach jest zajęciem jałowym i bezużytecznym, bo nas po prostu nie chce się słuchać. Dziś po raz pierwszy od wielu lat mam głębokie przekonanie, a wiem, że podziela je większość tu obecnych, że sytuacja radykalnie się zmieniła.

Pracując w środowisku lubelskim, powiedziałbym nieco inaczej: s y t u a c j a s i ę z m i e n i a. Sądzę, że zmieniałaby się szybciej, gdyby miejscowa prasa — nie wyłączając pism zakładowych i samej „Kameny" — śmielej podejmowała tematy i poszerzała obszar krytyki. Bo przecież nie trzeba kończyć Oxfordu, aby zauważyć, że i na naszym dziennikarskim podwórku obserwuje się — że znów się powołam na Bronisława Trońskiego (z przemówienia na VIII Zjeździe SDP) — *mniej lub bardziej uchwytne, mniej lub bardziej uświadomione ścieranie się tego, co postępowe, co nowatorskie — z tym, co konserwatywne.*

Nie chodzi mi o krytykę dla samej krytyki. Nie chodzi mi o czepianie się takich czy innych ludzi, chociaż kadry, zwłaszcza w najbliższym nam kręgu — administracji kulturalnej, zadziwiają swą indolencją i ignorancją. Rzecz jednak w tym, aby niezależnie od prywatnych sympatii czy antypatii umieć spojrzeć głębiej na otaczające nas zjawiska i problemy, kierując się dobrem publicznym.

„Gazeta — nie muzeum" — tak zatytułowałem artykuł, który ukazał się w 20 (330) n-rze „Kameny" w 1965 roku. Miałem na myśli „Sztandar Ludu" — organ KW PZPR w Lublinie. Po sześciu prawie latach, które minęły od tego czasu, po marcu 1968 r. i po grudniu 1970 r. można by z powodzeniem ów artykuł — nie stracił na aktualności — przedrukować. Rzecz zadziwiająca, bo przecież w „Sztandarze" pojawiły się nowe pióra. Zdolne pióra. Na palcach jednej ręki można jednak policzyć dziennikarzy (może nie ich trzeba za to winić?), którzy próbują po nowemu spojrzeć na otaczające nas zjawiska. W sumie nadal króluje sztampa, która zwłaszcza na ostatnich stronach mutacyjnych uwiła sobie spokojny i bezpieczny azyl.

I znów wrócę do dyskusji na VIII Zjeździe SDP, w którym z powodu choroby nie mogłem uczestniczyć. Mówił Stefan Janusiewicz: *Najbardziej trafny komentarz „Trybuny Ludu" dopóty nie potrafi (...) robotnika przekonać, dopóty sprawy i zjawiska będące w zasięgu jego doświadczeń, są przemilczane przez gazetę terenową. Sprawa ta ma zresztą charakter daleko wybiegający poza sferę działania tylko prasy. Zespolenie wszystkich patriotów wokół jednego celu, wokół jednego działania, ruszenie pokładów ludzkiej inicjatywy, zaradności i zapobiegliwości — możliwe jest przez obudzenie szeregu warstw społecznych z postawy wyczekiwania i niemrawości. Nie sposób tego uczynić bez sprawnie działającej i w porę poinformowanej, otoczonej polityczną opieką prasy terenowej.*

Cóż jednak czynić, gdy „Sztandar Ludu" zajął konsekwentnie postawę wyczekiwania? Gdy pełen sloganów tzw. protokół dyplomatyczny znalazł również zastosowanie w sprawozdaniu z pobytu na Lubelszczyźnie I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka? Jakby nie można było tekstu napisać inaczej, p o l u d z k u! Chociażby tak, jak — mimo niezręczności pewnych sformułowań — uczyniła to reporterka „Kuriera Lubelskiego"?

Jeśli dziennikarz chce, aby go szanowano, musi zacząć od szanowania samego siebie. Nasz zawód szczególnie wymaga szczerości i odwagi w wypowiadaniu poglądów, które nie zawsze przecież powinny budzić uznanie wojewódzkiej czy powiatowej biurokracji. Piotr Karpiuk, nowy I sekretarz KW PZPR w Lublinie, zachęca dziennikarzy do wzmożenia krytyki. Trudno więc tłumaczyć własne, powiedzmy po imieniu, nieróbstwo czy też odwalanie roboty tzw. „siłą wyższą", „brakiem wytycznych". Bo i dziennikarz może być chochołem. Określenie to dzięki Górnickiemu i „Życiu Warszawy" zrobiło zawrotną karierę. Obawiam się jednak, że gdyby nie pomoc Agencji Robotniczej czytelnik „Sztandaru Ludu" w ogóle nie zostałby poinformowany o nader ciekawej dyskusji, jaką rozpętał ów bodaj najlepiej redagowany w Polsce dziennik.

Gdy ktoś chce dobrze spać — zażywa luminal. Jeśli dziennikarz zamienia się w producenta środków nasennych, powinien zmienić zawód. Albo dziennik. By samemu nie usnąć.

Kierownictwo redakcji „Sztandaru Ludu", bo nie sądzę, że cały zespół, może powiedzieć: — Znów się nas czepia Jaworski. O co mu w końcu chodzi?

O to, aby organ Komitetu Wojewódzkiego PZPR stał się pismem, w którym najbardziej czytywaną rubryką nie był tylko program telewizyjny, repertuar kin, a także (rodzynek!) felieton emerytowanego majora w stanie spoczynku Anzelma Borkowskiego.

O to, aby zamiast tworzenia nowych rozdętych mutacji terenowych pomyślano wreszcie o mutacji pierwszej strony, tak aby czytelnik „Sztandaru Ludu" miał aktualnie w numerze te wiadomości, które przynosi mu drukowana w Warszawie „Trybuna Ludu".

A p r z e d e w s z y s t k i m o t o, a b y p o g r u d n i o w e u c h w a ł y p l e n a r n y c h p o s i e d z e ń K C z n a l a z ł y n a l e ż y t e o d b i c i e n a ł a m a c h p i s m a. Czyli konkretnie — znów się powołam na głos ze środowiska dziennikarskiego — jak mówił na VIII Zjeździe SDP Janusz Roszkowski: *o podjęcie — przy naszym, dziennikarzy, udziale — szerokiej społecznej edukacji, w toku której zapewni się właściwe rozumienie roli i znaczenia intensywnego systemu gospodarowania, wagi nauki i wykształcenia, kultu dobrej roboty, poczucia dyscypliny i porządku, widzenia przez każdego obywatela naszego kraju swoich własnych interesów w ścisłym nierozdzielnym związku z interesami naszej socjalistycznej ojczyzny. Jest to niezmierne zadanie, jakie przed nami staje w związku z tym, co postuluje i realizuje Partia.*

I już na marginesie. „Prasa Polska", pismo Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, poświęciła prawie cały podwójny (8—9 numer) dyskusji na VIII Zjeździe SDP. Sądzę, że każdy dziennikarz powinien ów numer przeczytać. A fakt, iż w dyskusji zabrakło głosu przedstawiciela Lublina ma również specyficzną wymowę. Lektura „Sztandaru Ludu" (w szpitalu i w sanatorium czytałem pismo nader dokładnie!) utwierdza w przekonaniu: siedźmy cicho, daleko zajedziemy.

Katastrof jednak coraz więcej. Również i na Lubelszczyźnie.

29 sierpnia 1971 r.

Za Bugiem

NIEWĄTPLIWYM wydarzeniem w historiografii ukraińskiej ostatnich dwu lat jest dokładne opracowanie i wydanie trzech kronik (latopisów) ukraińskich ważnych dla historii Ukrainy i krajów ościennych, w tym przede wszystkim — dla historii Polski, głównie XVII wieku.

Dwie kroniki, a mianowicie tzw. Latopis Lwowski, obejmujący fragmenty dziejów z lat 1495—1649 oraz tzw. Latopisiec Ostroski, obejmujący lata 1500—1636, napisane zostały w XVII wieku. Opracowano i wydrukowano je w książce: O. A. Bewzo, Lwiwśkij litopys i Ostrożkyj litopysec. Dżerełoznawcze doslidżennia, Kijów 1970, stron 200.

W książce tej połowę miejsca zajmuje rozprawa O. A. Bewzy na temat znaczenia obu tych źródeł dla historii. Autor rozprawy omawia dzieje zainteresowania się owymi zabytkami. Latopis Lwowski wykorzystywany był i przedrukowywany we fragmentach nie tylko przez wydawnictwa ukraińskie i rosyjskie, ale też polskie w XIX wieku, a mianowicie: K. W. Wyocicki i W. A. Maciejowski przedrukowywali fragmenty owego Latopisu w „Kwartalniku Naukowym", t. 2—3, Kraków 1835—1836, częściowo w oryginale staroukraińskim językiem literackim, częściowo zaś — w przekładzie polskim.

Latopisiec Ostroski znany jest z jedynej kopii zachowanej w Państwowym Muzeum Historycznym w Moskwie pod nazwą „Letopisiec Polskij". Oryginalnym zaś nagłówkiem tego utworu jest „S. Krojniky Bielśkoho reczi potrebnij wybranij", duża więc część wcześniejszych wiadomości tu umieszczonych opiera się na Kronice M. Bielskiego. Tę współzależność dokładnie omawia autor rozprawy, poprzedzającej oryginalne teksty.

Centralną sprawą są tu walki kozackie i wystąpienie B. Chmielnickiego. Przedstawiono tu stosunki polsko-ukraińskie w owym czasie. Autorzy kronik są po stronie prawosławia i Kozaków. Przewijają się też fakty wspólnych walk polsko-kozackich przeciwko napadom tatarskim na Ukrainę oraz inne części ziem dawnej Rzeczypospolitej.

Teksty podane są w oryginale, ale we współczesnej transkrypcji ukraińskiej. Po tekstach następują bardzo dokładne komentarze, a następnie słownik wyrazów starych mało zrozumiałych, indeks imion osobowych i osobno — indeks nazw geograficznych. Już same tylko wspomniane indeksy alfabetyczne orientują, ile imion, ważnych dla historii Polski wspominają kroniki, ile przytoczono polskich nazw geograficznych, m. in. takie jak Warszawa, Wiślica, Wisła, Gdańsk, Rzeszów, Zamość, Kraków, Lublin, Lubartów, Bystrzyca i wiele innych.

Tzw. Latopis Samowydca ogarnia swym zasięgiem lata 1648—1702; na temat autora nazwanego umownie Samowydcem (ten, który spisał to, co „sam widział") są w historiografii liczne poglądy. Kronika ta była w XVIII wieku niezwykle popularna na Ukrainie, krążyła w licznych kopiach, z których zachowało się do dnia dzisiejszego kilka; stały się one podstawą do odtworzenia pierwotnej wersji oryginału przez Jarosława Dzyrę, który dał wyczerpujące komentarze i wspaniałe opracowanie owego pierwszego radziecko-ukraińskiego wydania Latopisu Samowydca w Kijowie 1971 r.

Wydanie to otwiera nową serię wydawniczą Akademii Nauk USRR pod nazwą „Źródła z historii Ukrainy". Mają się ukazać w tej serii we wszechstronnym opracowaniu naukowym wszystkie najważniejsze kroniki (latopisy), memoiry, dzienniki staroukraińskie, mające pierwszorzędne znaczenie dla historii.

Wydany obecnie Latopis Samowydawca miał w XIX wieku po jego znalezieniu ogromne znaczenie na kształtowanie się nawet pewnych poglądów w historiografii ukraińskiej, co dokładnie przedstawia w swym treściwym wstępie J. Dzyra.

Centralną i najważniejszą sprawą dla kronikarza jest tu powstanie B. Chmielnickiego. Pierwszy rozdział książki otrzymał zresztą od samego kronikarza tytuł „O początku wojny Chmielnickiego". Ciekawe i oryginalne są tu opisy bitew polsko-kozackich, ważne są wiadomości o sprawach kozackich po Radzie Perejasławskiej 1654 r. Wydarzenia więc opisywane przez kronikarza z początku XVIII w. mają siłą faktu bezpośredni związek z historią Polski. Wskazują na to również indeksy nazwisk i imion osobowych oraz nazw geograficznych.

Transkrypcja oryginału zrobiona została po raz pierwszy konsekwentnie według współczesnych zasad grafiki ukraińskiej, co jest ze wszech miar słuszne.

Wspomniane wydania będą służyły dużą pomocą historykom zajmującym się historią Polski i Ukrainy w XVII wieku, którzy zechcą sięgnąć do opinii ludzi współżyjących czy też współuczestniczących w ważnych wydarzeniach owych lat, jakimi po części byli autorzy wspomnianych kronik ukraińskich, udostępnionych dla masowego odbiorcy przez historyków i Akademię Nauk Ukrainy.

M. Ł.

„Siłacz polski”

Dokończenie ze str. 1

młodociane kurewki za kefir i suchą bułkę samotnego pana do utraty tchu bawić będą, byleby namiot miał, bo milicja goni toto bez większego skutku, nieruchomiejąc zupełnie przed szczeniakiem, który legitymując się stanowiskiem swego tatusia, najodważniejszego stróża porządku obezwładnić potrafi. Domki schludne, piętrowe, z łazienką (gorąca woda w wannnie) i elektrycznością POSTiW nad samym brzegiem postawił — 1850 złotych miesięcznie kosztuje wynajęcie parteru lub piętra.

Więc ten pomnik zniewala do porównań z ciastem wylewającym się z dzieży, o którym zapomniała gospodyni, ten pomnik wspiera racje Władysława Hasiora w jego gniewie na wznoszenie byle jakich monumentów, miliony kosztujących, lecz nieproporcjonalnych swą treścią artystyczną do treści upamiętnianych. W pobliżu ciągną się szeregi nowych i ładnych bloków mieszkalnych — nie pozna Włodawy ten, kto ostatnio był w mieście pięć lat temu — a na kamiennych ławach wokół pomnikowej sceny figuralnej jacyś obywatele w kombinezonach kończą namiętne rozmowy, rozpoczęte w „Zaciszu”; niektórzy drzemią już, a ślina kapie mi po gębach.

„Zacisze” — nowoczesny to lokal, z dancingiem, restauracja plus kawiarnia plus młoda i sprawna obsługa plus oranżada z lodówki. Niech ręka boska broni położyć siatkę z zakupami na szerokim parapecie podokiennym! Tu jest lokal, a nie dworzec, proszę zdjąć to natychmiast! A ubikacja zafajdana...

A tu, niedaleko centrum, stoi budynek Powiatowego Domu Kultury, który sławę zyskał dzięki kierownikom, zmieniającym się regularnie co dwa lata. W ciągu dziesięciu lat istnienia, pięciu gospodarzy przetrzymał „pedek”, wychowując przecież własną kadrę instruktorów, którzy pracując szkoły pokończyli. Brak jednak tego od muzyki, więc w terenie zatrudnia się „na godzinach” organistów.

* * *

O jedenastej nie ma rzeźbiarza przed budynkiem Wydziału Oświaty i Kultury Prezydium PRN we Włodawie, nie ma go też w samo południe, ani o pierwszej, ani o drugiej. Znikł, przepadł, może pochłonięty rachunkami zapomniał po prostu o spotkaniu...

Jedziemy na północ, na Hannę, Sławatycze, do Lisznej. Mijają nas po prawej: jeden, drugi, szósty. Mają poutrącane skrzydła, kalekie wiatraki. Z góry skazane na zniszczenie, nie pomoże im nawet Muzeum Wsi Lubelskiej — tylko dwa było w stanie kupić. Lada rok znikną zupełnie z nadbużańskiego pejzażu, który przez dziesiątki lat uszlachetniały, któremu nadawały osobowość. Otoczone zagonami zbóż i poletkami tytoniu, przypominają grobowce — ech, ta miastowa egzaltacja, jakże ona śmieszna wobec zdumionego okrzyku Kuczewskiego na widok bochenków chleba w oknie sklepiku.

— Raz, najwyżej dwa razy w tygodniu dowozi się chleb do sklepów geesu, nie zawsze świeży...

Różanka, Stawki, Dołhobrody: trzy nowe świetlice wzniesione w czynie społecznym.

— Stoją właściwie bezużytecznie, bo brak jest 20—30 tysięcy na wyposażenie, na stoliki, krzesła, nie mówiąc już o sprzęcie potrzebnym do prowadzenia samej działalności świetlicowej.

Prezydium PRN nie ma nadwyżek budżetowych, posiada natomiast 17 milionów deficytu podatkowego. Gromadzkie rady narodowe nie troszczą się nadmiernie, jak zwykle, o dobro kultury, zaledwie w trzech wypadkach — w skali powiatu — opłacają świetlicowe sprzątaczki, z rzadka i w nikłym stopniu finansują remonty budynków. Warunki lokalowe większości świetlic wiejskich są fatalne, stare i drewniane chałupy chylą się ku ruinie. W tej chwili aż 26 takich budynków wymaga kosztownego remontu, a organizacje społeczne gospodarzące świetlicami (OSP, ZMW, kółka rolnicze), nie dysponują odpowiednimi środkami. Gdyby jednak dwa — cztery lata wcześniej ci wszyscy udziałowcy wiejskiej kultury pomyśleli o ratowaniu zaczynających niszczeć obiektów, czy doszło by do obecnej, tak kryzysowej sytuacji? Wierzyć się nie chce, choć wiedza o gęsnącym do niedawna zadłużeniu wsi wobec państwa, o starzeniu się chłopskiej społeczności, opuszczanej z braku życiowych perspektyw przez młodzież, nie pozwala na ferowanie jednoznacznych wyroków.

— Nie jeden raz zadaję sobie również pytanie, dlaczego w sąsiednich wsiach nie widzi się amatorskich zespołów teatralnych, pracujących stale — ciągnie Oręczuk. — Dochodzę do jednego, moim zdaniem zasadniczego, wniosku: we wsiach tych brak jest przede wszystkim ludzi — organizatorów tej działalności. A po drugie to na wsi jest coraz mniej młodzieży. Prawdą jest również i to, że w każdym prawie domu jest radio, adapter i płyty, a telewizor stał się sprzętem powszechnego użytkowania.

Rację ma Józef Oręczuk, dziw jednak, że nie ma w nim rozgoryczenia z powodu faktycznego zaprzepaszczenia wysiłku społecznego, włożonego w budowę świetlicy. A ile takich obiektów kulturalnych stoi na Lubelszczyźnie — na poły lub całkowicie bezużytecznie? Ile inwestycji pchniętych z miejsca czynem społecznym przed trzema i pięcioma laty nie może doczekać się

Prawdę mówiąc, tylko nazwa świadczy o istnieniu świetlic wiejskich. Brak elementarnego wyposażenia — mebli, gier, radioodbiorników, adapterów, telewizorów — zepchnął te placówki do roli miejsca zebrań gromadzkich i zabaw noworocznych; czasami zabłąka się pod eternit jakiś pazerny prelegent, roztaczający przed dziećmi na ogół audytorium uroki racjonalnego żywienia merynosów. Jak jest zimą w świetlicach? Zimno, bo pieców nie ma.

Bywa, a jakże, że świetlica staje się przytułkiem jakiegoś zespołu amatorskiego. Tak jest np. w Stawkach, gdzie od roku 1929 działa zespół teatralny, otrzepujący obecnie z kurzu widowisko folklorystyczne (Uwaga PAGART!) pod nazwą „Wesele różanieckie”. O jego dziejach tak prawi Józef Oręczuk, sześćdziesięcioletni dziś rolnik, od siedemnastego roku życia związany z tym wiejskim teatrem:

— O powstaniu zespołu zadecydowało to, że przez kilka lat przygotowywaliśmy jasełka, uczyliśmy się śpiewać kolędy, majstrowaliśmy szopki, gwiazdy, a ostatecznie przygotowaliśmy zespół jasełkowy zwany u nas i w okolicy „Herodem”... Kłopotu z chętnymi nie było. Młodzież we wsi pozostawała, ponieważ nie było innej pracy. Zasadniczą trudnością w pracy zespołu, odczuwalną stale, był brak lokalu do przeprowadzania prób. Pragnę nadmienić, że przygotowanie sztuki odbywało się tylko w okresie jesienno-zimowym, ponieważ w miesiącach letnich brak było na to czasu, a rodzice i samo życie zmuszało, aby przez okres lata przygotować się materialnie do przetrwania okresu zimy... Organizowaliśmy swoje występy w naszej wsi, w pomieszczeniu nadzwyczaj ciasnej szkoły. Pomieszczenie to nie było opalane, a aktorzy rozgrzewali się w czasie występów.

Amatorzy ze Stawek występowali po wyzwoleniu w wielu miejscowościach powiatu i w samej Włodawie, podróżując własnymi furmankami lub traktorem kółka rolniczego. „Nic na to nie możemy poradzić... przydałby się większy samochód na przejazdy zespołów”. Członkami zespołu są ludzie starzi, bo we wsi brak młodzieży. Dwa lata temu aktywnie uczestniczyli przy wznoszeniu remizy ze świetlicą i salą widowiskową. „Wymaga ona obecnie odpowiedniego urządzenia oraz wyposażenia w sprzęt”. Od dawna wymaga.

wiechy? Wyliczam z pamięci domy kultury: Stary Zamość, Piaski, Trawniki, Krzczonów... Czyny społeczne traktowane są jako tzw. inwestycje grupy B. Co nam, na Lubelszczyźnie, przypomina ta litera? Długo jeszcze będziemy zbierać robaczywe owoce przedgrudniowej polityki społeczno-ekonomicznej, opartej na modelu osła truchtającego za nieosiągalną marchewką. Polityki, która największe spustoszenia poczyniła w sferze moralności obywatelskiej, która pominęła oczywistą prawdę, że nowoczesne państwo jest złożoną strukturą, funkcjonującą dobrze tylko wtedy, jeśli wszystkie jej elementy są sprawne, odpowiednio naoliwione.

W dalszej perspektywie przewiduje się zanik wsi „indywidualnych”, do roku 1990 dwa miliony ich mieszkańców przeniesie się do miast. Nie znaczy to przecież, że mamy wyjaławiać wieś z instytucji kulturalnych, szczególnie na rolniczej Lubelszczyźnie. A świetlice wiejskie leżą. Wiadomo jednak, że nieźle działają (w znośnych warunkach lokalowych) świetlice przy PGR, POM i spółdzielniach produkcyjnych, utrzymywane przez te zakłady i otwarte dla całego środowiska wiejskiego. Może więc w nich nadzieja?

Nadzieja, ciągle nadzieja, ale cóż więcej można zaproponować, jeśli i gromadzkie ośrodki kultury, z którymi wiązano tyle nadziei, nie spełniły owych nadziei. Jak mogły spełnić, jeśli mieszczą się na ogół w nieodpowiednich pomieszczeniach, a ich wyposażenie jest żałosne, a kadra — jak to w kulturze — jakaś taka nijaka. Z czterech GOK w powiecie włodawskim, dwa wymagają natychmiastowego remontu, lecz środków brak. Może więc kluby „Ruchu” i „Rolnika”? Pisałem niedawno o materialnym i kadrowym kryzysie tych placówek, nic więcej nie potrafię teraz dodać, nic zmienić.

Sytuacja zatem bez wyjścia? Niezupełnie. Wydział Oświaty i Kultury we Włodawie postawił na współdziałanie ze związkami zawodowymi, realizując tym samym na własnym terenie porozumienie między Ministerstwem Kultury i Sztuki a CRZZ. W rezultacie kilka rad zakładowych — m. in. Huty Szkła Gospodarczego w Dubecznie, Rolniczego Zakładu Doświadczalnego w Uhrusku, Huty Szkła Gospodarczego w Nadbużance oraz Zarząd Oddziału Powiatowego ZZ Prac.

Rolnych we Włodawie — w poważnym stopniu finansuje działalność ośrodków kultury i świetlic, pomoc merytoryczną otrzymując z Powiatowego Domu Kultury. Podobne porozumienie zostanie zawarte z wszystkimi związkami branżowymi, działającymi w powiecie.

Tak, to jest wyjście. Ale planowanie środków finansowych na działalność kulturalną między związkami zawodowymi nie jest koordynowane w stopniu dostatecznym. Środki na ten cel w powiecie są uzależnione od przyznawanych dotacji związkowych i budżetów gromadzkich rad narodowych, tym zaś daleko do zaspokojenia potrzeb. Poza tym na pomoc związków zawodowych można liczyć tylko tam,

gdzie istnieją przedsiębiorstwa czy instytucje państwowe i spółdzielcze.

Jedźmy dalej.

Do Lisznej, która wita odkrytymi fundamentami pod nową... świetlicę

— Od pięciu lat tak stoją — zauważa melancholijnie Kuczewski. — A w Dołhobrodach już trzecie fundamenty położono pod łaźnię i piekarnię, bo na wcześniejszych zbudowano co innego.

W Lisznej mieszka rzeźbiarz ludowy, Tadeusz Szkodziński, odkryty zaraz po wojnie przez zasłużonego etnografa lubelskiego, Janusza Świerzego. Niewysoki, kędzierzawo posiwiały, o wydatnym nosie, w polskich dżinsach połatanych — od zaprzęgu odchodzi, wita i do chałupki prosi, gdzie pachnie ogórkami i koprem, a Matka Boska patrzy zazdrośnie z obrazu na suszarkę do włosów marki „Fema”.

— Panie Szkodziński — kierownik referatu kultury zwraca się do rzeźbiarza. — Wystawę organizujemy we Włodawie, niech pan daje, co pan ma. Potem będzie kiermasz, znaczy sprzedaż.

— Sprzedaż? A bo to kto kupi! — kładzie przecież na stół ceratą nakryty: a to ptaszków drewnianych kilkanaście, a to dziewczynę rzeźbioną („Sto złotych”), a to katarniarza z lipy („Dwieście”). Także „Stępę” do kaszy za 450, bo „tydzień trzeba robić”, i mnóstwo szabelek wierzbowych à 25 złotych. Kuczewski wpisuje ceny na podstawach i w zeszycie, liczy sztuki. Niektóre rzeczywiście sugestywne w wyrazie, interesujące w formie, oj, oszalałby na ich widok turysta zachodni!

— Świątki też? — ostrożnie pyta Szkodziński.

— Dawaj pan. „Zadumanego”!

— A to? — wskazuje rzeźbiarz na pokaźnych rozmiarów scenę myśliwską z wilkami i niedźwiedziem, tak żywą, że ryk wściekły niemal słychać w pokoju; zakołysał się posążek „Dziadka” z mieczem w dłoni — zwidy jakoweś po serialu z Hopkirkiem, albo z doktor Ewą. — Za tysiąc siedemset. Ale i tak nikt nie kupi.

Krótko to trwało, jakieś czterdzieści minut. Szkodziński na pole się spieszył, żegnał nas przecież serdecznie, do „pedekowskiej” „Nysy” podprowadził, wypożyczonej na tę okazję. „Już mi to wszystko zbrzydło”, zwierzył się. „Rodzina narzeka, że czas tylko marnuję, tak, z Cepelią kiedyś współpracowałem, ale to łobuzy”.

— Zarobek? Wrogom nie życzę takiego zarobku. Panie, ja robię kulturę, prawda?! A za kulturę 25 złotych nie chcą dać, a zegarz się wynajmie i 170 złotych za dzień dostanie i obiad! A kobita zarobi 120 przy żniwach w jeden dzień, a ja dwa dni robię „bolesławą” za 120 złotych i nikt nie kupi. Kultura, panie, ech kultura...

Co tu gaworzyć, że na Lubelszczyźnie nie rozwiązano do dziś problemu sensownego handlu autentycznymi dziełami sztuki ludowej, jeśli wszyscy wiedzą o tym od lat? Wybitny, nie tylko moim zdaniem, malarz ze wsi Dąbrowica Mała w powiecie białopodlaskim, Bazyli Albiczuk, żył do niedawna w skrajnej biedzie, wspomagany raz w roku kilkusetzłotowymi nagrodami administracji kulturalnej. Żyć będzie lepiej, ale dzięki... Warszawie. Z drugiej strony ileż straszliwej miernoty „ludowej” kupuje się u nas do zbiorów muzealnych, ilu wiejskich „rzeźbiarzy” dobija się do władz o należne, ich zdaniem, gratyfikacje! Kiśnie więc kocioł z bigosem „sztuka ludowa”, a im dłużej to trwa, tym cięższym fetorem raczy — z winy kucharzy deliberujących nad naukowym uściśleniem pojęcia ludowości, z winy przeróżnych opiekunów przeróżnego szczebla, konkurujących między sobą o nagrodę Wielkiej Ignorancji.

Jazda. Hanna: niezła droga w czynie społecznym położona i gospoda „Przystań”, z której wypływa jakiś obywatel. Co na to ksiądz proboszcz, który wiernych płci męskiej zgromadził po mszy świętej i do podpisania deklaracji nakłonił, że do kielicha w knajpie zaglądać nie będą, co najwyżej w domowych pieleszach, pod troskliwym okiem małżonek, ćwiartkę obalą? Kapliczka stara, jak Chrystus ze średniowiecznego obrazu spękana.

Dańce. Wieś sprawdzona w konkursie „Zmieniamy oblicze wsi lubelskiej”, czego następstwem 500 tysięcy złotych nagrody. Do tej sumy i powiat sporo dorzucił, a gospodarze zakasali rękawy: będzie więc kompleksowy ośrodek kultury z salą widowiskową (kino szerokoekranowe), biblioteką, z czterema mieszkaniami na piętrze dla nauczycieli. Centralne ogrzewanie i woda. Poza tym remiza. Ogólny koszt w granicach 3 milionów złotych. Projekt lubelskiego architekta, Eugeniusza Kwerki, funkcjonalny.

Mury podciągnięto już na wysokość piętra, wokół leżą cegły, wyciąg złamany, ani śladu człowieka, choć czas roboczy. Klinie Kuczewski, aż miło.

— Znów trzeba będzie trzy dni siedzieć i rozkręcać robotę. Tak zawsze bywa: kiedy przejmiemy finansowanie inwestycji czynowej, kończy się społeczne zainteresowanie budową.

Wieczorem wróciliśmy do Włodawy.

Nazajutrz Antoni Kuczewski przez dwie ranne godziny telefonował do przeróżnych instytucji, prosząc o samochód konieczny do wyjazdu na spotkanie z młodzieżą przebywającą gdzieś tam na koloniach. Bezskutecznie. Potem pojechał do Dańc.

— Kiedy pan opracowuje koncepcję pracy kulturalnej w powiecie? — zapytałem przed pożegnaniem.

— W święta państwowe.

22 lipca kierownik referatu kultury we Włodawie (razem z kimś jeszcze) przez pięć godzin wyładowywał pustaki z dwóch wagonów, które nieoczekiwanie nadeszły na stację. Pustaki były przeznaczone dla włodawskiej kultury, ludzi nie było, a osiowe jak góra. Wydaje się zatem wskazane, aby wszystkim kandydatom na kierowników referatów i wydziałów kultury w województwie dokładnie badano krzepę. Do takiej weryfikacji najlepiej nadaje się machina odpustowa pod nazwą „Siłacz polski”.

Ireneusz J. Kamiński

P.S. Kamienna rzeźba, wspomniana na początku reportażu, zdaje się liczyć co najmniej kilkaset lat. Badania trwają.

Przepraszam - pan zna życie...

JESTEM inspektorem. Terenowym inspektorem. Pracuję w jednej z wojewódzkich instytucji, która oprócz działalności tzw. bezpośredniej sprawuje nadzór i kontrolę nad branżowymi przedsiębiorstwami rejonowymi w powiatach, a także nad geesami, świadczącymi mojej firmie usługi handlowe, pośrednicząc w skupie płodów rolnych. Każdego dnia ja i ośmiu moich kolegów inspektorów jeździmy po województwie wzdłuż i wszerz, w biurze i w domu poszcząc raz w tygodniu. Normalna inspektorska dola. Delegacyjne tango, że tak powiem.

Ale nie narzekam. Każdy inspektor podpisując umowę o pracę wie, na co się decyduje. Z jednej strony na ogromną odpowiedzialność, jako że uczciwość z handlem i obrotem towarowym rzadko jakoś chadzają jednymi ścieżkami; z drugiej strony — jest skazany na łaskę i niełaskę kierowców zawsze przeładowanych autobusów pekaes, nierzadko dzielenie przygodnego łoża z nie przypadkowymi zupełnie insektami w „hotelach” rozmaitych Kozich Wólek, na jadanie absolutnie niestrawnych obiadów w przeróżnych barach i gospodach, lub niejadanie w ogóle; na przemierzanie — o, z taką jak ta, nieodłączną inspektorską teczką ze świńskiej skóry — piechotą bezdroży lub pięknej asfaltowej szosy zrobionej w czynie, którą dopiero co przemknął obok przystanku szczelnie zapchany, ostatni w tym dniu pekaes. Normalna inspektorska dola, delegacyjne tango...

Toteż w swoim czasie z nadzieją powitaliśmy, my, inspektorzy terenowi, decyzję rządową o możliwości korzystania z samochodów osobowych podczas tak zwanych delegacji, oczywista — służbowych delegacji. Niejeden przy tym po cichu liczył na realizację „marzenia Polaka nr 1” — przydział samochodu na dogodnych warunkach ratalnych, z limitem kilometrów. Kropka w kropkę jak w odnośnym zarządzeniu. Niejeden liczył, ale za to każdy przeliczył się. Nikt z moich kolegów z biura macierzystego, ani ze znanych mi biur w innych województwach, przydziału nie otrzymał. Przydziały otrzymali natomiast wszyscy, ilu ich tam jest, dyrektorzy, główny księgowy (który w teren w ogóle nie jeździ), niektórzy wpływowi naczelnicy wpływowych działów.

„Trudnoświetnie”, mówiliśmy, ich dyrektorsko-naczelnikowskie prawo, ich święty przywilej pierwszeństwa, niepisana, ale epokowa formuła „w pierwszej kolejności” obowiązuje wszak nadal powszechnie i ciągle ma swój specyficzny smaczek. Takie jest życie. A co jak co, lecz życie, proszę pana, to inspektorzy terenowi znają. Na co dzień są w samym jego środku, na co dzień stykają się bezpośrednio z jego, że tak powiem, mięsem.

„Trudnoświetnie”, mówiliśmy, nie tracąc nadziei na przyszłość. Tego — nadziei — też nauczyliśmy się od życia. Więc w oparciu o tęż nadzieję, nie czekając na urzędowe pieczęcie i podpisy, co poniektórzy koledzy bogatsi z domu pokupowali stare „Syreny” i „Trabanty”. Trzech na ośmiu. Było ich stać, lub udało się im trafić na zasobnych w parędziesiąt tysięcy krewnych, którzy akurat nie mieli skrystalizowanych koncepcji odnośnie zgromadzonego uporczywym ciułaniem dwudziesto-trzydziestotysięcznego kapitału. Dość, że dwu kolegów kupiło sobie „Syrenki”, a jeden „Trabanta”.

Liczyli na kilometrowe limity. Byli pewni, że je uzyskają. Byli pewni, że nareszcie położą kres komunikacyjnym kłopotom przy pomocy własnych czterech kółek napędzanych służbową limitowaną benzyną, że pokonają wreszcie raz na zawsze zmorę służbowego wystawania na pekaesowskich, jakże często zupełnie abstrakcyjnych przystankach. I — też się przeliczyli. Nie otrzymali ani złamanego limitowanego kilometra...

Postawili nieprzydatne samochody na ulicy przed blokami w wojewódzkiej metropolii? Ależ skąd. Jeżdżą w teren tymi swoimi wrakami. Nie opłaca się, mówi pan? Pewnie, że się nie opłaca, firma rozlicza przecież zmotoryzowanych kolegów wedle taryfy pekazu lub pekape. Grosze w porównaniu z poniesionymi kosztami, fakt. Także nieformalność, mówi pan i dziwi się, że robią to inspektorzy, w istocie i z natury rzeczy powołani do tropienia nieformalności, tudzież kombinatorstwa? Ale wszystko jest względne na tym najlepszym ze światów...

Wie pan, co to jest „łepek”? Ano właśnie... Bez urazy, moi zmotoryzowani koledzy też na nich, że tak powiem, polują. Przystają na przystankach i, nawet nie zatrzymywani, zabierają oczekujących na autobus. Dla pekaesu żadna konkurencja, w pewnym sensie raczej sojusznicza pomoc. A dla kolegów z samochodami jaka taka szansa zwrotu kosztów paliwa i eksploatacji wozów. Tak, że w sumie wszyscy powinni być zadowoleni...

O czystym sumieniu pan mówi i o zawodowej uczciwości wspomina? Słusznie. Jestem po pańskiej stronie. Każdy byłby po pańskiej stronie. Ale ośmielam się zauważyć, że nie zna pan życia. Inspektor terenowy je zna, a kto zna życie, proszę pana, ten musi — rozumie pan — musi dostosować się do warunków. Na to nie ma silnych, proszę pana.

Pan?... To pan jest dziennikarzem? Szkoda, że nie wiedziałem. Ale człowiek zawsze mówi nie w porę i przeważnie nie to, co by akurat należało... Jest pan przekonany, że interwencja prasowa odniesie skutek, przynajmniej odźwięk jakiś? Dobrze, pańskie szlachetne prawo. To nawet ładnie z pana strony. No i wierszówieczka będzie, na benzynkę do samochodziku się przyda, no nie? Bo pan też służbowo w teren, prawda? Na reportaż? I też prywatnym samochodem z delegacją na pekaes?... No to przepraszam — pan zna życie.

S. H.

Towarzystwo Opieki nad Majdankiem w ostatnim dziesięcioleciu

Paweł Dąbek

Składanie wieńców na Majdanku. W środku autor materiału, b. więzień Majdanka, Paweł Dąbek. Fot. Archiwum

We wrześniu 1961 r. Zjazd Sprawozdawczo - Wyborczy Towarzystwa Opieki nad Majdankiem powierzył mi funkcję prezesa Zarządu Głównego, którą pełniłem przez 10 lat, wybierany na kolejne kadencje. Z okazji rocznicy oraz faktu rezygnacji z zajmowanego stanowiska z dniem 30 czerwca 1971 r. czuję się w obowiązku — korzystając z łamów „Kameny" — złożenia społeczeństwu sprawozdania z realizacji głównych kierunków pracy Towarzystwa w ciągu minionego okresu.

Towarzystwo Opieki nad Majdankiem powstało w 1945 roku. Zrodzone zostało z dążeń i potrzeb społecznych celem zabezpieczenia ocalałych obiektów i urządzeń byłego obozu koncentracyjnego na Majdanku, upamiętnienia miejsca męczeństwa, heroizmu i walki obywateli polskich, radzieckich i innych 24 państw okupowanej Europy, dokumentowania i utrwalania wiedzy o dokonanych zbrodniach na skrawku umęczonej ziemi pod Lublinem.

Cele te łączyły i łączą w Towarzystwie byłych więźniów Majdanka i tych, którzy uniknęli jego gehenny — zarówno pokolenie starsze, jak i młodzież. One głównie rzutowały na rozwój organizacyjny Towarzystwa, powstanie oddziałów i kół, szczególnie w Krakowie, Warszawie i Łodzi. Jednocześnie określały podstawowe kierunki pracy, z których najpoważniejszym, zgodnie z nazwą organizacji, była sprawa zagospodarowania i adaptacji dla celów muzealnych pozostawionych przez okupanta urządzeń na terenie byłego obozu.

Zrealizowana w latach 1946—1948 koncepcja zagospodarowania Majdanka w oparciu o zadrzewienie pól więźniarskich okazała się projektem niefortunnym. Wyrosły po latach las poważnie osłabił atmosferę grozy, zatarł tragizm dawnego krajobrazu obozu, całkowicie przysłonił ślady zbrodni, jak również istniejące baraki. Te względy zadecydowały, że Towarzystwo wspólnie z Muzeum na Majdanku wystąpiło z sugestią opracowania nowego planu przestrzennego Majdanka. Uwzględniając te dążenia Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki w 1961 roku zdecydowały „zabezpieczyć, zachować i utrzymać poprzez fachowe zabiegi konserwatorskie obiekty i urządzenia mające zasadniczą wartość dokumentalną i muzealną oraz stworzyć warunki dla właściwego funkcjonowania Muzeum".

Wytyczne te stały się podstawą do opracowania koncepcji przestrzennego zagospodarowania byłego obozu. Zadanie to powierzono lubelskiemu architektowi inż. Romualdowi Dylewskiemu. Myślą przewodnią nowego planu było możliwie pełne odtworzenie pierwotnego stanu obozu oraz zabezpieczenie zachowanych obiektów i urządzeń poobozowych. W oparciu o ten program, zatwierdzony przez Radę Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki, Muzeum na Majdanku uzyskało (m. in. na skutek starań Towarzystwa) 14 milionów złotych na konserwację obiektów i zagospodarowanie terenu. We wrześniu 1962 roku w czasie dorocznych „Dni Majdanka" dokonano uroczystego przekazania terenu byłego obozu oraz otwarcia nowej ekspozycji muzealnej uwzględniającej całokształt problematyki związanej z funkcjonowaniem byłego obozu na Majdanku.

Ważnym elementem w programie upamiętnienia tego miejsca męczeństwa stała się budowa pomnika. Propozycję tę wysunął Zarząd Główny Towarzystwa Opieki nad Majdankiem w 1966 roku przedstawiając ją Radzie Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa w Warszawie, która inicjatywę zaakceptowała i włączyła do swego planu.

Rozpisany w roku następnym konkurs na projekt monumentu przyniósł efekt w postaci 140 prac, z których jury *) wybrało do realizacji pracę artysty rzeźbiarza inż. Wiktora Tołkina z Gdańska.

W okresie budowy pomnika (1968—1969) wszystkie poczynania, zarówno Zarządu Głównego jak i podległych komórek, podporządkowane zostały realizacji tej idei. Dlatego też Towarzystwo angażowało wszystkie siły i możliwości, aby w ciągu jednego roku doprowadzić wespół z innymi organizacjami i instytucjami do ukończenia budowy pomnika. Wynikłe trudności, a było ich niemało, wspólnie z Radą Ochrony Pomników, KW PZPR i Prez. WRN starano się rozwiązywać tak, aby nie ucierpiał harmonogram robót.

*) Skład jury: Janusz Wieczorek — przewodniczący, Paweł Dąbek — zastępca przewodniczącego oraz 7 działaczy TOnM i ZPAP.

Słowa uznania ze strony Towarzystwa należą się głównemu wykonawcy pomnika — Lubelskiemu Przedsiębiorstwu Budownictwa Miejskiego, które nakładem wytężonej pracy robotników i inżynierów oddało monument w oznaczonym terminie.

Na podkreślenie zasługuje także obywatelska postawa społeczeństwa Lublina, które — odpowiadając na apel naszej organizacji — gremialnie wzięło udział w pracach społecznych przy budowie pomnika i porządkowaniu terenu byłego obozu.

Tak więc efektem wytężonej zbiorowej pracy powstało monumentalne dzieło oddające specyfikę obozu koncentracyjnego na Majdanku, dzieło o dużym wyrazie artystycznym, które — jak głosi jego Akt Erekcyjny — „symbolizuje tragiczne doświadczenia naszych pokoleń, ich ofiary, walkę, gorycze — a także triumfalne zwycięstwo nad zbrodnią hitleryzmu — symbolizuje nadzieje ożywiające dzisiaj serca i umysły polskie, nadzieje pokoju i sprawiedliwości, człowieczeństwa i demokracji".

Odsłonięty pomnik — Walki i Męczeństwa oraz Mauzoleum — w dniu 21 września 1969 roku podczas ponad 100 000 manifestacji społeczeństwa Lublina z udziałem najwyższych władz państwowych i politycznych oraz licznych gości zagranicznych przypominać będzie o straszliwej tragedii, jaka rozegrała się na tym miejscu w latach 1942—1944. Pomnik stał się jednocześnie symbolem pamięci narodowej i czci dla poległych, symbolem zwycięstwa prawdy nad fałszem, wolności nad przemocą.

* * *

Druga ważna dziedzina pracy Towarzystwa to działalność propagandowa. Jej najistotniejszy element stanowiły organizowane niemal każdego roku „Dni Majdanka". Były one nie tylko przypomnieniem okropności wojny w nawiązaniu do rocznicy jej wybuchu, ale zarazem złożeniem hołdu tym wszystkim, którzy zginęli na Majdanku i w innych hitlerowskich obozach śmierci lub w walce z okupantem. Wiązały one jednocześnie okupacyjną przeszłość z dniem dzisiejszym poprzez wyrażanie protestu wobec sił odwetowych i toczących się wojen w Wietnamie i na Bliskim Wschodzie w imię interesów imperializmu.

Szczególnie uroczysty charakter miały „Dni Majdanka" w 1964 roku zorganizowane w XX rocznicę wyzwolenia obozu oraz w 1969 roku, z uwagi na dokonanie wmurowania aktu erekcyjnego pod pomnik.

Niewątpliwie najpoważniejszą uroczystości w dotychczasowej tradycji „Dni Majdanka" była manifestacja o charakterze międzynarodowym w 1969 roku związana z odsłonięciem pomnika.

Obok ogólnopolskiej akcji propagandowej, nasilającej się podczas „Dni Majdanka", Zarząd Główny Towarzystwa Opieki nad Majdankiem i jego ogniwa terenowe przywiązywały znaczną uwagę do szerzenia wśród młodego pokolenia wiedzy o okresie okupacji, zbrodniach hitlerowskich i walce z okupantem. Popularyzacja tej wiedzy przyjmowała różnorodne formy: od pogadanek nauczycieli poprzez audycje szkolne, spotkania z więźniami, organizowanie wycieczek na Majdanek i do innych miejsc kaźni. Towarzystwo akcentując celowość rozwijania akcji oświatowych wśród młodzieży wychodziło z założenia, że ten rodzaj pracy wychowawczej posiada istotny wpływ na zaangażowanie ideowe oraz kształtowanie postawy patriotycznej młodego pokolenia.

Temu celowi służyły także organizowane wystawy tematycznie związane z problematyką zbrodni hitlerowskich, głównie zaś z obozem koncentracyjnym na Majdanku.

W tej dziedzinie poważny wkład notują oddziały Towarzystwa w Warszawie, Łodzi i Krakowie oraz środowiska więźniarskie w Bytomiu, Szczecinie, Kielcach, Radomiu, Koszalinie, Białymstoku, Zielonej Górze, Wrocławiu, Opolu i innych miastach.

W ciągu lat 1961—1971 Muzeum na Majdanku wspólnie z Towarzystwem eksponowało tam wystawy dokumentalne, takie, jak: „Majdanek oskarża i ostrzega", „Majdanek" oraz plastyczne: „Majdanek w oczach młodzieży", i prac malarskich ks. Władysława Paciaka oraz fotogramów Wojciecha Stana pt. „Majdanek".

Spośród wystaw o znaczeniu ogólnopolskim, w których organizacji uczestniczyło również Towarzystwo Opieki nad Majdankiem, należy wyróżnić ekspozycje pt. „Przeciw wojnie" organizowane począwszy od 1962 roku co trzy lata z myślą stworzenia z czasem stałej galerii sztuki współczesnej w Muzeum na Majdanku o tematyce antywojennej. Wystawy te, których dotąd było trzy, stanowią przejaw manifestacji twórczej środowiska plastycznego całego kraju w obronie pokoju i walki o szczytne ideały humanizmu.

Do poważnego utrwalenia wiedzy o Majdanku przyczyniły się także pamiętniki b. więźniów obozu lubelskiego. O ile do roku 1961 nie mieliśmy w kraju żadnego obszerniejszego wspomnienia poświęconego Majdankowi, to w ciągu ostatnich 10 lat wydano ich 21, w tym 12 w Lublinie nakładem Wydawnictwa Lubelskiego. Duża w tym zasługa Towarzystwa Opieki nad Majdankiem, Muzeum na Majdanku oraz Wydawnictwa Lubelskiego, które inspirowały pisanie wspomnień, czego najlepszym przykładem był ogłoszony konkurs przez Muzeum na Majdanku i Towarzystwo Opieki nad Majdankiem. (napłynęło 186 prac).

W ciągu lat 1961—1971 łączny nakład literatury wspomnieniowej osiągnął 230 000 egzemplarzy. W sumie nakład wydawnictw poświęconych Majdankowi, opublikowanych w kraju w latach 1961—1971 wyniósł 370 000 egzemplarzy, z czego na wydawnictwa popularnonaukowe przypada 120 000, zaś na prace naukowe około 20 000 egzemplarzy.

Dziedzinę, w której Towarzystwo Opieki nad Majdankiem posiada poważne osiągnięcia, a które świadczyć będą o jego wkładzie w rozwój badań naukowych nad zagadnieniem zbrodni hitlerowskich na Lubelszczyźnie w szczególności zaś obozu koncentracyjnego na Majdanku, stanowi działalność Rady Naukowej Towarzystwa Opieki nad Majdankiem. Powołana w 1961 roku jako organ naukowy Towarzystwa Rada Naukowa zajmuje się inicjowaniem i koordynacją badań nad historią byłego obozu. Wyniki tych badań zawarte w postaci szczegółowych opracowań różnych zagadnień z dziejów Majdanka publikowane są w „Zeszytach Majdanka". Spośród wydanych dotychczas czterech tomów „Zeszytów" (tom V w druku, VI w przygotowaniu) trzy poświęcone zostały niemal w całości dziejom obozu na Majdanku a jeden problematyce zbrodni hitlerowskich w województwie lubelskim.

Wyniki dotychczasowych badań Rada Naukowa Towarzystwa Opieki nad Majdankiem przedstawiła również społeczeństwu na trzech sesjach naukowych w 1962, 1964 i 1966. Dwie pierwsze poświęcone zostały problematyce obozu na Majdanku, trzecia zagadnieniom martyrologii na Lubelszczyźnie. Ich znaczenie polegało nie tylko na szerzeniu, pogłębianiu i podsumowaniu dotychcza-

→

Boją się snów...

Dokończenie ze str. 1

Dzieci „wartościowe" pod względem rasowym, przeznaczone do germanizacji, wywożono do Niemiec z Polski, ZSRR, Czechosłowacji, Jugosławii, Francji, Norwegii, Belgii i Holandii. Miały one zwiększyć liczebność narodu niemieckiego do 100 milionów. Problem ten nabrał szczególnej wagi w momencie poważnych strat biologicznych poniesionych przez Niemcy na skutek działań wojennych; poza tym należy się dopatrywać w tych planach unicestwiania narodowego charakteru zdobytych obszarów. Systematycznie prowadzona akcja germanizacyjna była najbardziej konsekwentnie realizowana wobec dzieci polskich. Trudno wymienić personalnie, kto był twórcą tego planu, ale wiadomo, że ogólne zarysy działania opracowane zostały przez Urząd do Spraw Rasowo-Politycznych Narodowosocjalistycznej Partii Pracy.

Całokształt zbrodniczej działalności okupanta wobec dzieci trudno ująć w liczby: podobnie rzecz przedstawia się w odniesieniu do Majdanka, bo, jak wiadomo, dokumentacja tego typu była szczególnie ukrywana i niszczona przez hitlerowców. W zachowanych poobozowych dokumentach w Muzeum na Majdanku, zeznaniach i wspomnieniach byłych więźniów, możemy odnaleźć jedynie fragmenty dotyczące pobytu dzieci w lubelskim obozie. Poważne trudności zarysowują się także przy ustalaniu ogólnej liczby dzieci będących za drutami Majdanka, procentu ich śmiertelności, jak też i prześledzeniu losów tych, które wysłano w transportach do innych lagrów.

Jak pisała Zofia Murawska w artykule pt. „Dzieci w obozie koncentracyjnym na Majdanku", zamieszczonym w zbiorowej pracy „Zbrodnie hitlerowskie na dzieciach i młodzieży polskiej 1939—1945", pierwsi mali więźniowie przybyli tu wiosną i latem 1942 r. w transportach z Lubelszczyzny, z Czechosłowacji i Austrii. O tym, że problem przywożenia dzieci na Majdanek musiał być dla hitlerowców zagadnieniem dużej wagi, świadczy pismo SS-Obergrupenführera i generała broni SS O. Pohla z charakterystycznym zaznaczeniem: „Tajne 1/43", a skierowane „Do Naczelnego Dowódcy SS, Berlin SW 11 Prinz Albrechtstr. 8", donoszące:

Reichsführerze!

Powołując się na rozkaz z 6 I 1943 r. zarządziłem utworzenie obozu zbiorczego w Lublinie dla dzieci i młodzieży. Obóz zbiorczy zostanie zorganizowany na obszarze 3 K.G.L. (patrz zał. szkic czerwony). Dziewczęta i chłopcy zostaną od siebie odseparowani. Istniejąca jeszcze widoczna łączność z innymi terenami zostanie zlikwidowana. Budynki do prowadzenia zajęć szkolnych i wychowawczych zostaną odpowiednio urządzone ewentualnie zostaną zbudowane nowe.

Heil Hitler!

W pracy Zofii Leszczyńskiej pt. „Transporty więźniów do obozu na Majdanku", drukowanej w IV tomie „Zeszytów Majdanka", odnajdujemy dosyć istotną informację o tym, że w lutym 1943 r. dwukrotnie przywieziono do lubelskiego obozu duże grupy kobiet i dzieci spod Woroneża i Żytomierza. W okresach — jak pisze wspomniana autorka — od stycznia do kwietnia 1943 r. na Majdanek w 138 transportach przywieziono 52 700 osób, a od maja do sierpnia tegoż roku skierowano do lubelskiego obozu 154 transporty liczące 62 300 osób. Są to najwyższe wskaźniki w zestawieniu transportów przychodzących do obozu koncentracyjnego na Majdanku w latach 1941—1944.

Wspomnienia b. więźniów odnotowują bardzo często napływ dużej liczby dzieci, którym za wszelką cenę przychodzili z pomocą zarówno mężczyźni jak i kobiety — Polacy. Oto, co np. pisze Danuta Brzosko-Mędrykowa w książce pt. „Matylda":

Było na Majdanku kilkaset dzieci białoruskich, które stawiły do pracy razem z kobietami — jak one nosiły ziemię, tłukły kamienie, w karnym biegu gubiły trepy, kaleczące stopy. Zmęczone, z oczami głęboko zapadniętymi, z wyrazem głodu i nieufności, nie umiały się już śmiać...

Kobiety, z Matyldą Wolinlewską na czele, organizowały dla dzieci obozowych pomoc żywnościową i starały się odgradzać je — na ile było można — od typowych widoków hitlerowskiego lagru. Dzieciom ofiarowywano produkty z paczek przesyłanych Polakom przez rodziny i lekarstwa. Córka b. prezydenta Warszawy Z. Słomińskiego — inż. architekt Helena Kurcyuszowa — zorganizowała z chłopców białoruskich w wieku od 8 do 12 lat grupę roboczą, której przewodziła. Mądra opiekunka tak kierowała pracą dzieci, by jak najmniej traciły sił, a w czasie wzajemnych rozmów czy nauki alfabetu rosyjskiego i polskiego zapominały o swoim losie i odwracały głowy od widoku palących się trupów. Potajemnie także rysowała portreciki dzieci białoruskich a wieczorem, po apelu, pokazywała w bloku Białorusinek ich twarzyczki, by możliwie zidentyfikować młodziutkich więźniów. Dla dzieci Kurcyuszowa wyjednała od oberaufzejerki podwójną porcję zupy i chleba, argumentując, że pracują tak jak dorośli.

Po kilku tygodniach dzieci białoruskie wywieziono z Majdanka, prawdopodobnie do obozu dziecięcego w okolicach Łodzi, pozostałe zaś, pochodzące z innych terenów ZSRR, w liczbie 38 wyjechały wraz z kobietami do Oświęcimia.

Od czerwca 1943 r. napływały na Majdanek liczne transporty Polaków z powiatów zamojskiego i biłgorajskiego, zaś wśród przywiezionych najwięcej było kobiet (dużo ciężarnych) i dzieci. Dla dzieci urodzonych już w obozie więźniarki zatrudnione w szwalni szyły potajemnie koszulki i pieluszki i wręczały je lekarkom i pielęgniarkom pracującym w szpitalu obozowym, ciesząc się, że bodaj w ten sposób mogły przyjść im z pomocą.

W lipcu i sierpniu 1943 r. zwolniono z obozu 2 167 kobiet i dzieci z powiatów biłgorajskiego, hrubieszowskiego, tomaszowskiego i zamojskiego. Zofia Murawska w cytowanej już pracy pisze:

Z liczby tej 394 dzieci wymagało leczenia klinicznego. Chorowały głównie na odrę, płonicę, wietrzną ospę, krztusiec i zapalenie płuc. Większość była w stanie krańcowego osłabienia. Dzieci te znalazły opiekę lekarską w szpitalu Jana Bożego w Lublinie. Nie we wszystkich jednak wypadkach wysiłki lekarzy przynosiły oczekiwane rezultaty. Około 100 dzieci nie udało się utrzymać przy życiu. Pochowano je w zbiorowej mogile na cmentarzu przy ul. Lipowej.

Poza tragedią dzieci polskich na Majdanku odnotować także należy gehennę dzieci żydowskich, zwłaszcza tych, które zostały przywiezione wraz z dorosłymi z powstania w getcie warszawskim. Stefania Błońska we wspomnieniach pt. „Pół roku i parę dni", drukowanych w tomie zbiorowym pt. „Jesteśmy świadkami", opisuje jak w jednym z bloków umieszczono 150 kobiet wraz z dziećmi. Był to wstrząsający widok dla więźniarki, która przecież legitymowała się już poważnym stażem obozowym. Pisze ona:

Nie zapomnę młodej matki, która trzymała na ręce dziecko-niemowlę około roku; przedramię matki, ściśnięte i pupcia dziecka stanowiły jedną ranę. Ta najtrudniejsza rana do opatrzenia (szarpano-parzona) pochodziła od szarpnięcia. Kobiety w baraku były rozhisteryzowane, krzyczące i przerażone (...). W tych nie do opisania warunkach matki przeżyły zaledwie około tygodnia, a po tym czasie, wraz z dziećmi, wyprowadzono je do gazokamery.

W ten sposób władze hitlerowskie likwidowały skutecznie problemy „niewartościowych rasowo" dzieci.

Toczyć batalii o życie najmłodszych na Majdanku nie było łatwo, zwłaszcza że rozkazy komendantury powtórnie skazywały je na nieuchronną śmierć. I tak np. komendant H. Florstedt wydał w lipcu 1943 r. zakaz korzystania z jedynej studni w kobiecej części obozu. Wiedy właśnie odnotowano

sowej wiedzy o byłym obozie. Budziły one zainteresowanie jednocześnie w skali ogólnokrajowej badaczy Majdanka, problemami zbrodni hitlerowskich w województwie lubelskim, inspirowały do podejmowania nowych tematów, poszerzały krąg badaczy. W bieżącym roku zorganizowana zostanie sesja naukowa poświęcona sprawie dzieci na Majdanku.

Dzięki zaawansowanemu stanowi badań nad dziejami Majdanka Rada Naukowa w 1969 roku podjęła uchwałę o rozpoczęciu prac przygotowawczych zmierzających do opracowania pełnej syntezy dziejów obozu koncentracyjnego na Majdanku. Monografia posiadać będzie charakter jednolitego opracowania naukowego. Jej objętość obliczona jest na ponad 1 000 stron. Wydanie tego dużego dzieła przewidziane jest na rok 1974, tj. na 30-lecie wyzwolenia obozu.

Osiągnięcia Rady Naukowej w zakresie prac badawczych są wynikiem pełnego zaangażowania zespołu jej członków, szczególnie zaś jej przewodniczącego, prof. dr. Tadeusza Mencla, który kieruje pracami od 10 lat, nie szczędzi wysiłku, trudu, rad i pomocy dla młodych pracowników opracowujących szczegółowe tematy z historii obozu. Uwieńczeniem kilkuletniej działalności Rady Naukowej Towarzystwa Opieki nad Majdankiem będzie monografia stanowiąca trwały pomnik oskarżenia i ostrzeżenia.

Obok spraw posiadających szersze aspekty społeczno-ideowe Towarzystwo starało się mieć zawsze na uwadze sprawy człowieka. Stąd też pomoc dla b. więźniów Majdanka, bądź ich rodzin znajdujących się w trudnej sytuacji. W miarę posiadanych możliwości Zarząd Główny, podobnie jak i jego oddziały, udzielały zapomóg finansowych, interweniowały w sprawach mieszkaniowych, zatrudnienia, starały się o uhonorowanie odznaczeniami państwowymi działaczy konspiracyjnego podziemia obozu koncentracyjnego w latach 1941—1944.

Dokonując bilansu działalności Towarzystwa w ciągu 10 lat nie sposób pominąć milczeniem tych, którzy przez szereg lat ofiarnie pracowali realizując statutowe zadania i cele, o ludziach dbających o dobre imię Towarzystwa, którzy zasłużyli na wysokie uznanie, a to: Janina Bartosikowa, Danuta Brzosko-Mędryk, Jerzy Cesarski, Ryszard Dunin, Edward Dziadosz, Stanisława Gogołowska, August Gołębiowski, Edward Gryń, Marcin Gryta, Antoni Ignaszewski, Edward Janiuk, Sergiusz Jaśkiewicz, Józef Kruk, Czesław Kulesza, Marian Lipecki, Zygmunt Ładkowski, Saturnina Malm, Mieczysław Martyn, Józef Marszałek, prof. dr Tadeusz Mencel, Piotr Metera, Jan Michalak, Jan Orchowski, płk Jan Osiński, dr Eugenia Perzanowska, Feliks Siejwa, Konstanty Siuchta, Janina Stankiewicz, Maria Stpiczyńska, Marian Tkaczuk, Stanisław Trusz, dr Henryk Wieliczański, Józef Wnuk, Michał Wójtowicz, Janina Zasadzińska, Wiktor Zin i inni.

Im wszystkim, jak i tym, których nie sposób wymienić, składam serdeczne podziękowanie za ich pracę dla Towarzystwa i szczerą koleżeńską współpracę w realizacji zadań. Serdecznie dziękuję także przedstawicielom władz politycznych i państwowych, organizacji społecznych, wszystkim tym, którzy z zaangażowaniem i poświęceniem, pełni zrozumienia współpracowali ze mną podczas 10-letniej działalności na stanowisku prezesa Zarządu Głównego Towarzystwa Opieki nad Majdankiem.

Plenum Zarządu Głównego Towarzystwa Opieki nad Majdankiem w dniu 30 czerwca 1971 r. przyjęło moją rezygnację i wybrało nowego prezesa w osobie Zygmunta Ładkowskiego, byłego więźnia Pawiaka i Majdanka, dotychczasowego wiceprezesa Zarządu Głównego. Życzę mu jak i całemu Zarządowi dalszego pomyślnego wypełniania zadań Towarzystwa.

największą liczbę zachorowań w obozie. Jednakże wysiłki polskich lekarzy w pasiakach dawały rezultaty. Wspomnieć tu należy o postawie prof. Mieczysława Michałowicza, wybitnego pediatry, który wyjednał u władz obozowych pozwolenie na zorganizowanie w szpitalu obozowym oddziału dziecięcego; nie wolno też zapomnieć o poświęceniu pomocniczego personelu służby zdrowia.

Zdzisława Chwist, 13-letnia więźniarka Majdanka, którą jesienią 1943 r. wywieziono do Ravensbrück, a następnie przetransportowano do Łodzi i umieszczono w obozie dziecięcym, tak wspomina pobyt w lubelskim KL:

Pierwszą noc na Majdanku spędziłam w swoim ubraniu. Następnego dnia po kąpieli zabrano mi moje rzeczy, a w zamian wydano pasiaki, trepy, białą chustkę na głowę, trójkąt koloru czerwonego i numer 819 wypisany na białym płótnie. W pasiaki schowałam się prawie cała, gdyż byłam przecież dzieckiem. O dobraniu odpowiedniego rozmiaru odzieży nie było mowy. (...) Ja zostałam zatrudniona w „Gartnerei". Do pracy sztyfmy ustawione w piątki, pod eskortą SS-manów. Pilnowały nas aufzejerki, spośród nich najgorszą sadystką była Niemka, którą nazywałyśmy Brygidą. Biła nas bez najmniejszego powodu, na oślep, tym, co miała pod ręką.

Głód, praca ponad siły, bicie — to nieodłączne atrybuty życia lagrowego dzieci majdankowskich. Wiele z nich nie doczekało wolności, te natomiast, które przeżyły i są w tej chwili dorosłymi ludźmi, nie potrafią zapomnieć Majdanka. W ich wspomnieniach lubelski obóz pozostał na zawsze i trudno dziwić się, że mimo upływu tylu lat boją się snów.

Elżbieta Rosiak

1 grudnia 1970 roku lubelska prasa codzienna podała wstrząsającą wiadomość o śmierci dwóch robotników. Adam Wysocki i Kazimierz Arend, pracownicy Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Robót Inżynieryjnych Gospodarki Komunalnej w Lublinie, zostali w siedmiometrowym wykopie przysypani obsuwającą się ziemią. Wykop okazał się niedostatecznie zabezpieczony. W podobny sposób zginął podczas pracy przy budowie szpitala w Krasnymstawie Bartłomiej Twarek, pracownik Lubelskiego Przedsiębiorstwa Inżynieryjnego. Stażysta Fabryki Samochodów Ciężarowych w Lublinie 18-letni Józef Zasadni, został zabity prętem wystającym poza osłonę tokarki. 19-letnia Danuta Rumak, pracownica Cementowni Chełm I, zginęła pod zwalonym zbiornikiem cementu luzem, który — jak wykazała ekspertyza — posiadał niedostateczną wytrzymałość na obciążenie.

Troska o człowieka?

Mirosław Derecki

To tylko kilka przykładów. W 1970 r. zdarzyło się na Lubelszczyźnie 45 śmiertelnych wypadków przy pracy. Ujmując rzecz statystycznie, można byłoby mówić o pewnej „poprawie" w stosunku do roku poprzedniego, ponieważ w r. 1969 było takich wypadków — 46. Ale kiedy w grę wchodzi śmierć człowieka, statystyką nie wolno się zasłaniać. Zaś rozpatrując przyczyny, jakie do tych wypadków doprowadziły trzeba stwierdzić, że być może tylko prostemu zbiegowi okoliczności należy zawdzięczać, iż ponura statystyka wskazuje takie a nie inne liczby. Albowiem warunki bhp w województwie przez wiele lat nie tylko się nie polepszyły, ale pogorszyły.

Oczywiście, jeśli znowu sięgniemy do statystyki, stwierdzimy, że wskaźnik częstotliwości wypadków na Lubelszczyźnie jest daleko niższy od „średniej krajowej". Jeżeli na 1000 osób pracujących zdarzyło się 19,37 różnorakich wypadków, to na Lubelszczyźnie — 14,93. Także w innych dziedzinach dotyczących bezpieczeństwa i higieny pracy nie jest u nas najgorzej. Wcale to jednak nie znaczy, że nie powinniśmy uważnie przyjrzeć się istniejącej w województwie lubelskim sytuacji, która po prostu przedstawia się źle.

Nowoczesna technika, jej szybki postęp — mówił wojewódzki inspektor pracy w referacie wygłoszonym na plenum WKZZ w marcu 1971 r. — *nie pozostają bez wpływu na stan fizyczny i psychiczny człowieka. Trzeba mieć to na uwadze przy projektowaniu nowych inwestycji tak przemysłowych jak i osiedlowych, przy opracowywaniu procesów technologicznych, przy rozwiązywaniu każdej kwestii, która łączy się z pracą, bytowaniem i wypoczynkiem. Sprawą zasadniczą jest lepsze poznanie wszystkich skomplikowanych i trudnych problemów mieszczących się w pojęciu humanizmu pracy. Rozwiązywać te zagadnienia lepiej można tylko wtedy, jeśli lepiej się je pozna. Płyną stąd zadania dla związków zawodowych, instytutów naukowych, wyższych uczelni, które obok działalności badawczej winny prowadzić w tym kierunku także akcję popularyzacyjną.*

Jeśli chodzi o Lubelszczyznę to już w 1966 roku a następnie w 1968 Egzekutywa KW PZPR podjęła uchwałę o poprawie warunków pracy i socjalno-bytowych w zakładach pracy województwa. Wtedy też nastąpiło znaczne ożywienie i zainteresowanie się tymi sprawami. Ale brak należytej i systematycznej kontroli realizacji uchwały przez instancje związkowe spowodował, że stopniowo sprawy te zostały odsunięte na dalszy plan. Powracano do nich tylko marginesowo podczas omawiania innych problemów gospodarczych, albo w wypadku wystąpienia jakichś jaskrawych zaniedbań.

Od kilku miesięcy sprawa zapewnienia ludziom pracy jak najlepszych warunków jej wykonywania znajduje się w centrum szczególnego zainteresowania. Już teraz w licznych zakładach widać znaczną poprawę. Ale dlatego też tym bardziej widać różnicę między tym, co uległo poprawie, a tym, co zostało „po staremu". Widać też, że poprawa warunków pracy — w ogólnym wymiarze — jest wciąż niedostateczna.

Trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że w bardzo znacznej mierze owe złe, czy nieodpowiednie warunki pracy i będące ich wynikiem — nie koniecznie śmierć lub kalectwo, bo to są konsekwencje skrajne — takie czy inne osłabienie mocy produkcyjnej samego pracownika albo całego zakładu pracy, po prostu wypływają z lekceważenia przepisów bhp przez tych wszystkich, którzy powinni ich przestrzegać. To znaczy i przez ludzi na kierowniczych stanowiskach, i przez administrację, i przez samych pracowników. Oczywiście ci ostatni są najmniej odpowiedzialni. Ich przecież stawia się nierzadko bez odpowiedniego przeszkolenia w zakresie przepisów bhp, przy maszynie wymagając jedynie złożenia podpisu, że z takimi przepisami się zapoznali. Wśród ludzi na stanowiskach kierowniczych wciąż obserwuje się tendencję do odsuwania na dalszy plan zagadnień poprawy warunków pracy i spraw socjalno-bytowych załogi, a dbałość przede wszystkim o sprawy produkcji. Nawet kiedy w grę wchodzi budowa zupełnie nowych obiektów, zdarza się, że wprawdzie dokumentacja projektowa uwzględnia wszystkie wymogi ochrony pracy, ale później skrupulatnie realizuje się tylko te elementy projektu, które dotyczą spraw produkcji. Zawarte w projekcie opracowania z zakresu ochrony pracy i warunków socjalno-bytowych opóźnia się lub przesuwa na plan dalszy.

A jak to wygląda w praktyce? Na pozór sytuacja jest nie najgorsza. Oto na przykład plan nakładów eksploatacyjnych na bhp w zakładach pracy Lubelszczyzny, wynoszący 360 milionów złotych rocznie, jest systematycznie realizowany i to z nadwyżką. Ale przy bliższym zbadaniu okazuje się, że w większości przypadków zakłady pracy przeznaczają pieniądze przeważnie na zakup odzieży roboczej. Odzieży, która jest wciąż niefunkcjonalna i ma niską jakość. To powoduje jej szybkie niszczenie, zapotrzebowanie na następne egzemplarze, a w efekcie wydawanie pieniędzy, które powinny być przeznaczone na inny cel.

Spośród 124 jednostek podległych WZSP na Lubelszczyźnie, w ubiegłym roku tylko 20 planowało nakłady na inwestycje związane z bhp. Plan wynosił 1 832 tys. zł, zrealizowano 1 657 tys. zł. Ale ta sama sprawa wygląda zupełnie inaczej, kiedy weźmiemy pod uwagę, że w pozycji planu: „urządzenia higieniczno-sanitarne" figuruje kwota 789 tys. zł, a ostatecznie zrealizowano ją zaledwie w 10 proc.

W Wojewódzkim Związku Spółdzielni Inwalidów zaplanowano na inwestycje bhp 120 tys. zł i plan ten wykonano jedynie w połowie.

Jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja, jeżeli spojrzymy na nią nie w sposób „globalny", od strony wojewódzkich zjednoczeń czy wojewódzkich zarządów, ale badając plany i ich realizację w podległych im jednostkach. Oto na przykład Powiatowa Spółdzielnia Pracy Usług Wielobranżowych w Łukowie zaplanowała 82 tys. zł „na urządzenia dla higieny pomieszczeń", a w efekcie na owe „urządzenia" nie wydano ani grosza. Identyczna sytuacja zdarzyła się w Spółdzielni Pracy Remontowo-Konserwacyjnej w Lublinie, Spółdzielni Inwalidów w Puławach, Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej w Biłgoraju, w Lubelskim Przedsiębiorstwie Remontowym Przemysłu Maszynowego itd., itd.

Jest już niemal regułą, że nie wykorzystuje się pieniędzy przeznaczonych na urządzenia higieniczno-sanitarne, klimatyzację i wentylację, urządzenia służące do higieny procesów technologicznych. W niektórych zakładach — stwierdza wojewódzki inspektor pracy — *stan higieniczno-sanitarny, chodzi tu przede wszystkim o czystość i porządek w szatniach, umywalniach, ubikacjach itp., — urąga elementarnym zasadom higieny, obraża po prostu godność człowieka. Co gorsza, niektórzy kierownicy uważają ten stan za normalny. Zdarza się — na szczęście coraz rzadziej — że administracja nie korzysta z tych samych umywalni co ogół pracowników, lecz ze specjalnych, lepiej utrzymanych, zamykanych na klucz znajdujący się u dyrektora lub kierownika.*

Ze sprawami higieny, wiąże się ściśle bardzo istotny czynnik systemu bhp, jakim jest przemysłowa służba zdrowia. Stwierdzono, że liczba zakładowych ośrodków zdrowia jest niewystarczająca, a te, które istnieją, często nie są należycie wyposażone w urządzenia i sprzęt medyczny. Co gorsza, są przypadki, szczególnie w przedsiębiorstwach leśnych i rolnych, angażowania pracowników w ogóle bez przeprowadzenia wstępnych badań lekarskich.

Inna sprawa — to źle pojęta troska o utrzymanie „zdolności produkcyjnej zakładu" na zaplanowanym poziomie. Zdarza się, że pracownik pojawiający się rano w gabinecie lekarskim nawet z wysoką gorączką, otrzymuje wprawdzie zwolnienie chorobowe, ale dopiero od następnego dnia, a aktualnie musi wrócić na swój dział produkcyjny. W ten sposób „urwano" przynajmniej jeden dzień z zaplanowanych „dni niezdolności do pracy pracowników zakładu". Takie krótkowzroczne spojrzenie świadczy nie tylko o lekceważeniu zdrowia pracownika, ale w konsekwencji zwiększa tylko liczbę dni niezdolności do pracy a gdy zdyscyplinowany pracownik wraca do pracy, stwarza poważne niebezpieczeństwo wypadku.

Bezpieczeństwo i higiena pracy to nie tylko troska o zabezpieczenie pracownika przed nieszczęśliwym wypadkiem, nie tylko dbałość o zapewnienie mu odpowiednich warunków higienicznych i sanitarnych w zakładzie pracy, o czuwanie nad zapewnieniem mu zdolności fizycznej do pracy. To również troska o stworzenie mu takich warunków życia prywatnego, które by wpływały dodatnio na jego samopoczucie psychiczne, bo ten czynnik także nie pozostaje bez związku z wykonywaniem pracy zawodowej. Oczywiście, w dzisiejszych warunkach trudno rozwiązać na przykład jeden z najbardziej nabrzmiałych problemów — problem mieszkaniowy. Ale można ludziom przynajmniej ułatwiać rozwiązywanie spraw z jakimi spotykają się w życiu codziennym. W drodze do pracy i w drodze z pracy do domu. Odpowiedzialność za życie i zdrowie pracownika nie może się ograniczać tylko do samego terenu zakładu pracy.

Kierownictwo zakładu powinno ściśle współdziałać z lokalnymi władzami administracyjnymi, radami narodowymi, instytucjami użyteczności publicznej działającymi na terenie miasta, wsi, czy osiedla. Wymagać i starać się egzekwować to co jest potrzebne pracownikowi do prowadzenia jak najbardziej unormowanego życia, zapobiegać wytwarzaniu się stanów napięć nerwowych, które w konsekwencji odbijają się również na jakości wykonywanej pracy. Niestety, jak i w wielu wymienionych już wyżej dziedzinach bhp, tak i tutaj panuje charakterystyczna beztroska. Na przykład w Lublinie, Zamościu czy w Chełmie nie potrafiono dotychczas rozwiązać prostego przecież problemu zróżnicowania godzin rozpoczynania pracy, co by poważnie ułatwiło rozładowanie tłoku w środkach komunikacji miejskiej. Brak jest reakcji ze strony prezydiów rad narodowych na krytykę dotyczącą niewłaściwego rozmieszczenia sieci handlowej i usług, na nieuzasadnione przerwy w handlu, na brak dowozu towarów do sklepów w godzinach umożliwiających dokonywanie zakupów ludziom zatrudnionym na drugiej zmianie.

Przykłady beztroski i złych nawyków ze strony kierownictw zakładów pracy nie wyczerpują odpowiedzi na pytanie najbardziej istotne: dlaczego mnożą się wypadki przy pracy, dlaczego wzrasta liczba dni niezdolności do pracy? Otóż jednym z najistotniejszych czynników jest po prostu zła organizacja pracy, brak dbałości o elementarny porządek. W 1970 r. zdarzyło się na Lubelszczyźnie ponad 5 600 wypadków przy pracy, o 341 wypadków więcej niż w roku poprzednim. Około 70 proc. tych wypadków było spowodowanych właśnie złą organizacją pracy, brakiem porządku w halach produkcyjnych, na drogach, w przejściach między maszynami.

Nie znaczy to, że w działalności organów mających na celu czuwanie nad ochroną pracownika nic dotychczas nie zrobiono, że brak zdecydowanego działania. Wręcz przeciwnie. Tylko w 1970 r., inspektorzy pracy nakazali wstrzymanie pracy w 34 zakładach i 58 oddziałach produkcyjnych, spowodowali wstrzymanie pracy 818 agregatów i maszyn. Wstrzymali pracę na 191 robotach budowlano-montażowych. Wszędzie tam, gdzie stwierdzili bezpośrednie zagrożenie zdrowia, a nawet życia pracowników. Za nieprzestrzeganie przepisów bhp, niewykonywanie nakazów inspektorów pracy i zaleceń społecznych inspektorów pracy ukarano 327 kierowników i pracowników dozoru technicznego. Kary wyniosły 228 800 zł.

Powyższe liczby świadczą pozytywnie o działalności inspekcji, ale też raz jeszcze przypominają o ogromnych zadaniach, jakie stoją przed tymi wszystkimi, którzy w sposób bezpośredni czy też pośredni związani są z problemami bezpieczeństwa i higieny pracy. Na Lubelszczyźnie, niezależnie od szeregu innych instytucji, sprawami bhp zajął się także Zespół Poselski, który wyłonił specjalną komisję poselską dla zbadania sytuacji i zapobieżenia istniejącemu stanowi rzeczy. Zanim ów stan ulegnie radykalnej poprawie, a droga ku temu z pewnością ciężka i po grudzie, pamiętajmy stale, że w 1969 roku w kraju mieliśmy pięć milionów dwadzieścia siedem tysięcy dziewięćset dni niezdolności do pracy. Że na samej tylko Lubelszczyźnie wypadło ich ponad sto dwadzieścia tysięcy, a w roku 1970 sto czterdzieści i pół tysiąca. I że te stracone dla produkcji, dla rozwoju kraju dni, były w znacznej mierze wynikiem lekceważenia i niestosowania przepisów dotyczących ochrony warunków pracy.

Aleksander Rozenfeld

Ars poetica

sam przeciw światu cóż zrobię
ręką machnę — spać pójdę
niech inni nadstawiają głowy —
bohaterowie — ale ich nie ma
wymarli —
od przeciętności do przeciętności
w korowodzie zdarzeń obracamy głowę
i jeśli we śnie Kordian jakiś mignie
rzeknę że fałszywy — jak diament sztuczny
czasem obracany w dłoni — wielu takich
w koronie — pod koroną pusto
a w powietrzu słów dużo, wielu poetów —
na Agory forum w hybrydowe gaje zjeżdżają
... to ja sobie pójdę cóż tu po mnie
gdy ty niedaleko jesteś ledwie na wyciągnięcie dłoni
Oni Cię nie widzą ślepi na kolory
nie wiedzą że jesteś najpowszedniejszą kobietą
w łubin i zboże ubraną w łubin i zboże

Henryk Lothamer

* * *

Ten pan moje dzieci
musiał mieć ciężkie
i pracowite
życie
Popatrzcie tylko
jak jest przygięty do ziemi
i
jak powłóczy nogami
i wy drogie pociechy
winniście wdzięczność
temu panu
za wasze jasne przedszkole
i za dobrobyt waszych rodziców
to tacy panowie swoją pracą.....
(przedszkolanka mówi tak
o facecie, który co dzień
przechodzi pod oknem przedszkola
do pobliskiej poradni W
leczyć tam swój
paraliż postępowy)

Rys. L. Szalecki

Henryk Kozak

* * *

W niedzielne popołudnie
leżę na rozgrzanym piasku
nad rzeką swojego dzieciństwa
Rzeka skarży się
sama do siebie gada
niespokojnie powierza falom swoje
tajemnice
I gdy tak leżę na rozgrzanym piasku
słuchając śpiewów świerszczy
widzę kąpiące się w wodzie obłoki
oczy twoje
i widzę Cię jak w wodę wchodzisz
w ciało swoje zasłuchana
nieobecna daleka
nigdy we mnie nie zabliźniona
rana

Henryk Makarski

u trumny

czas porozwieszał płachty świtu
na gorejącej linie horyzontu
jak całun biały do rozkwitu
jaskrawych pelargonii

on leżał w lnianym prześcieradle
na tle czerwieni ściętej z rosą
starcy wypluli resztki psalmów
na słońca gromnic

W drodze ku rzeczywistości

Bohdan Zadura

PISARSTWO Andrzeja Kuśniewicza jest fenomenem na gruncie naszej literatury odosobnionym, i to z wielu przyczyn. Sam fakt, iż zadebiutował on tak późno, stanowi zjawisko nieprzeciętne, a jeśli dodamy, że tomem wierszy „Słowo o nienawiści" dopełni to miary nietypowości jego wejścia do literatury. W stosunkowo krótkim czasie ukazało się pięć powieści Kuśniewicza: „Korupcja", „Erotica", „W drodze do Koryntu", „Król Obojga Sycylii" i wreszcie ostatnio — największa, pół tysiąca stron licząca powieść „Strefy". Co charakterystyczne, wszystkie — poczynając od „Korupcji" — należały do najciekawszych wydarzeń wydawniczych sezonu, a pisarstwo to — przynajmniej jak do tej pory — zachowuje wciąż tendencję wznoszącą.

Tak więc dość niespodziewanie przybył literaturze polskiej pisarz pierwszej jakości. Być może, dyktuje mi te słowa fakt, iż pisarstwo Kuśniewicza zbieżne jest z moim ideałem literatury. Jeśli napisać, że to pisarz nowoczesny, zabrzmi to banalnie i pretensjonalnie. Kuśniewicz jest przecież pisarzem nowoczesnym, co w zestawieniu z „W drodze do Koryntu" i „Królem Obojga Sycylii" wydać się może paradoksem. Są to bowiem książki o czasie przeszłym, które dotyczą spraw dawnych, krajobrazów dalekich, woni zwietrzałych, jak zapach lewendy z „Króla Obojga Sycylii", wystrzałów przebrzmiałych, jak ten, który powalił w Sarajewie arcyksięcia Ferdynanda; wody rzek, które opisuje Kuśniewicz, dawno spłynęły już do mórz — Czarnego, i Śródziemnego, i Bałtyku, nie raz wyparowały i spadły nie raz w postaci deszczów na ziemię, inną, gdzie indziej, inaczej nazywaną. Cekania — choć to określenie nie Kuśniewicza, lecz Musila — już nie istnieje, secesję żywą pamiętają już tylko nasze babki. Więc paradoks, ale tylko o tyle, o ile nie jest nonsensem z czasu akcji wnosić o nowoczesności i współczesności autora. W owych elegiach — bo były to wszak powieści elegijne — współczesność istniała podskórnie, niejawnie, bo po pierwsze w owej przeszłości Cesarstwa Austro-Węgierskiego tkwią przecież również i jej korzenie, bo, po drugie, to ona przecież tworzyła dystans tak charakterystyczny dla Kuśniewicza.

„W drodze do Koryntu" i „Król Obojga Sycylii" były powieściami wysmakowanymi estetycznie i trudnymi, przewrotnymi, skomplikowanymi formalnie, posługującymi się i prawdopodobieństwem i domysłem, i symultanizm można by w nich znaleźć, i autotematyzm. Nie chodzi mi tutaj wszakże o wyliczanie wszystkich chwytów, jakich pisarz używał, o charakteryzowanie jego techniki powieściowej. Można natomiast powiedzieć, że pisarstwo autora „Diabłu ogarek" niewielkie miało szanse, by trafić do rzesz tak zwanych szerokich czytelników. Nie przesadne będzie stwierdzenie, że „W drodze do Koryntu" to poniekąd utwór hermetyczny, przewrotny, eksperymentalny, dający satysfakcję, ale wymagający od czytelnika i wiedzy, i wysiłku, i literackiego słuchu. Nie pierwszy raz piszę, że w moim przekonaniu rytm frazy, melodia zdania, to czasem trudno uchwytne pulsowanie słów, świadczą najsilniej o indywidualności i odrębności pisarza; i dlatego, aby zyskać z nim kontakt najintymniejszy, aby przeżyć książkę jako spotkanie z kimś żywym, trzeba się w nią wsłuchać, nastawić swój odbiór na częstotliwość umożliwiająca rezonans. Wsłuchać się — aby zrozumieć.

Kuśniewicz należy do pisarzy finezyjnych, pisarzy wirtuozów. Każda jego książka jest swego rodzaju popisem — świadczy o opanowaniu warsztatu, wielkiej samowiedzy, łatwości. W rzeczywistości różnie z tą łatwością bywa, w każdym razie jego proza nie nosi znamion wielkiego wysiłku, a o ten efekt chyba między innymi chodzi. W każdym razie jest to pisarz, który wie, czego chce.

Kreacjonizm, skłonność do dywagacji filozoficznych, ironia i autoironia, zamiłowanie do eseju i tworzenia intelektualnych konstrukcji sąsiadują u Kuśniewicza z wielkim bogactwem świata zmysłowego — wrażliwość Kuśniewicza na urodę i niepowtarzalność smaków, woni, barw i kształtów jest tak wielka, że prawie aż bolesna — i łączą się w jedną specyficzną jakość, jaką jest literatura powstająca pod jego piórem.

Kto patronuje pisarstwu Kuśniewicza? Powiedzieć, że Proust, to dopełnić w pewien sposób wcześniejszą o moment charakterystykę. Smaki, linie, wonie, kształty, barwy... Poszukiwanie straconego — utraconego — czasu, odnajdywanie go — na sposób bardziej gorzki, bardziej sceptyczny niż u Wielkiego Francuza. Chciałoby się powiedzieć, pamiętając o duchu religijnym, którym przesycone jest „A la recherche du temps perdu", na sposób bardziej ateistyczny. Bez euforii, egzaltacji i mistycyzmu. I bez nadziei. Ale zachwycenie równie napięte, bolesne. I ta melodia zdania — inna, ale w której jest wszystko: przemijanie, uroda i płynące z nich przecięcia, z ich związku wzajemnego, Piękno.

Przywołanie Prousta potrzebne mi było również w innym celu: by wypowiedzieć zdanie o wydźwięku ogólniejszym, którego sens wykorzystać by można również w obronie Kuśniewicza, gdyby takiej obrony potrzebował. Czy fakt, iż trudno powiedzieć, by Marcel Proust miał lub wypracował wizję Francji, stoi w sprzeczności z tym, iż uważamy go za pisarza z rodzaju największych?

Pytanie to, jeśli idzie o Kuśniewicza, traci w pewnej mierze swój sens w świetle jego najnowszej powieści „Strefy". Nie jest to książka, która wywracałaby do góry nogami wyobrażenie o twórczości autora, jakie można było sobie wyrobić na podstawie jego wcześniejszych publikacji. Kuśniewicz pozostał sobie wierny, z podobnego arsenału środków korzysta — może go trochę rozbudował, o podobnych pisze sprawach, do tych samych miejsc wraca i nieprzypadkowo jedna z postaci „Stref" to samo nosi imię co bohater „W drodze do Koryntu" — Jewhen. Tyle, że czas, który obejmuje akcja powieści, sięga już roku 1966. Egzotyka — dla nas, bo egzotyczny był i Wiedeń, i sycylijscy ułani, i Cyganka, którą uduszono w tajemniczych okolicznościach w przededniu wybuchu również dla nas egzotycznej pierwszej wojny — została wzbogacona o egzotykę przeszłości nie tak odległej, o to dziś, które jest jeszcze tak niewiele dalej, egzotyka tam i niegdyś o egzotykę tu i prawie teraz.

Szeroką doliną płynie powoli, zmierzając nieprzerwanie od wieków ku Dniestrowi i Czarnemu Morzu — rzeka Stryj.

Tam upływała młodość bohaterów „Stref", w miasteczku, gdzie „były cztery barwne reklamy: Milka, Velma, Bittra, no i feralne Kakao". Ich twarze „istnieją. Zjawiają się i nikną. Wszyscy z takiego dalekiego Południa. Z hrabstwa Yokpatawha". To ich kraj młodości, ojczyzna najbliższa, ziemia realna i fikcyjna. Patrzą „ponad Europą i Morzem Śródziemnym, nad Maghrebem i interiorem czarnej Afryki". Nad Atlantykiem. Ich rozmowa ze sobą, rozmowa z młodością, która minęła na styku narodowości i kultur. Język polski, rosyjski, jidysz, niemiecki, litewski. Racje, obyczaje, wierzenia, legendy i intensywność przeżywania krajobrazu i ludzi, taka jak tylko w młodości. Różne losy i wspólna młodości mitologia czy symbolika, w której kakao jest znakiem feralnym, oznaczającym klęskę, gorycz, upadek. Kakao, które dla wszystkich jest gorzkie. Pije je doktor Salo Grins, ginekolog, który trafił do Stanów Zjednoczonych, pije Gustek Ostroróg polujący w afrykańskim interiorze, piją ci, co przeżyli II wojnę i los rozrzucił ich po świecie. I jest postać najbardziej wyeksponowana — Olek Bogaczewicz, który decyduje się na powrót.

Po wojnie pracuje w punkcie repatriacyjnym we Francji. Gdy akcja dobiegała końca, wraca, sam nie znajdując racjonalnego wytłumaczenia tej decyzji. Nie wraca przecież ani do bliskich, których nie ma, nie wraca i do stron rodzinnych. Jego perypetie, jego droga życiowa obrazują to wszystko, co działo się w Polsce w trudnym okresie powojennym. Powiedzieć można, że „Strefy" są pierwszą książką dającą obraz życia tamtych lat, lat określanych mianem okresu kultu jednostki, pierwszą, nie ubraną w kostium historyczny, napisaną bez posługiwania się parabolą, analogią, aluzją. Książką realistyczną, ukazującą nie tylko Wielkie Mechanizmy, ale i zwykłych ludzi. Niezrównane są te partie, w których Kuśniewicz pokazuje urzędniczo-biuralistyczną codzienność, w których podsłuchuje groteskowy język sloganów i skrótów, jałowy i wyjaławiający umysły.

Moje doświadczenia w niewielkim stopniu odnoszą się do tamtego okresu: ale mogę chyba zaryzykować stwierdzenie, że Kuśniewicz potrafił oddać atmosferę i klimat epoki w sposób znakomity. Wyłania się ze „Stref" obraz swoistej komedii ludzkiej, w której zawarte są i elementy tragedii, i farsy. Tu też nasuwają się pewne analogie z Proustem — czyż salon pani Trudy na Brackiej nie przypomina salonu pani Verdurin? Maski, które się zmienia w zależności od sytuacji, przymrużenia oczu... Elementy farsy — bo powieść Kuśniewicza ukazuje bezsens, który polegał na tym, że jednym dogmatom przeciwstawiały się też dogmaty, tyle że inne. Wielkie partie „Stref" są ostrą satyrą i groteską. Śmiech wyzwala.

Pewnego dnia ulicami Warszawy rusza tłum na Plac Defilad. Przełom. Coś się zmienia i kakao pite przez Bogaczewicza zaczyna tracić swój gorzki smak. Rzeczywistość przestaje być absurdalna. Ale była i nie ma powodu, by temu przeczyć.

Andrzej Kijowski pisał niedawno, że zadaniem pisarza nie jest wymyślanie myśli, ale oddawanie ich społeczeństwu, od którego sam je przejmuje, swoista retransmisja tych impulsów, które ono wysyła. „Strefy" spełniają ten postulat. Jest to powieść gęsta, której problematyki nie sposób wyczerpać w jednym szkicu. Ma wiele wątków, z których każdy mógłby być osobną powieścią. Wielu spraw nie sposób nawet zasygnalizować. Trudno jednak wyobrazić sobie powieść bardziej polską, w której znalazłyby odbicie losy i sprawy Polaków. Napawa ta książka optymizmem, bo mówi o sprawach bolesnych i radosnych, sprawach skomplikowanych — w sposób poważny i odważny, nie uproszczony.

Myślę, że „Strefy" staną się bestsellerem, takim swego rodzaju „Popiołem i diamentem" późniejszych lat. Myślę, że pragnęliśmy takiej książki i czekaliśmy na nią. Andrzej Kuśniewicz ją napisał. W „Strefach" ludzie myślą i czują — a wiadomo, że nie wszyscy myślą i czują jednakowo. Jest to powieść, w której te myśli i uczucia, i racje związane są ze sprawami powszechnymi i ważnymi. Racje osobiste i polityczne, jednostkowe i powszechne, różne, a wiadomo, że wszyscy o wszystkim bez wyjątku tak samo nie myślimy. Audiatur et altera pars — jest to pierwsza doprawdy od wielu lat powieść, która respektuje tę zasadę — jakby powiedział Kuśniewicz — racji subiektywnych. Innymi słowy — liczy się z rzeczywistością społeczną, jaka istniała i istnieje, a której literatura nie chce — nie potrafi?, nie może, bo ją odzwyczajono? — przyjmować do wiadomości. „Strefy" są więc powieścią terapeutyczną, wynoszącą na światło dzienne, podającą do powszechnej wiadomości, ujawniającą to wszystko, co było skryte w jednostkowych zakamarkach prywatności. Ujawniającą — tedy leczącą kompleksy. Powiedzmy, jak było — a będziemy wiedzieli, jak nie jest. Jest to książka, która może odegrać poważną rolę w przywróceniu społecznego zaufania do literatury.

Ukazała się za późno, a może trochę za wcześnie. Historia wniosła poprawkę do jej epilogu, wzięła go delikatnie w subtelny nawias ironii. Ale trudno już mieć o to pretensję do Kuśniewicza i trudno do historii, która od tego przecież jest, by wprowadzać korekty, nie licząc się czasem z marzeniami pisarza. Albowiem nad równiną spokojnego słońca zbierały się już pierwsze chmurki, nie jeden Olek Bogaczewicz ich nie dostrzegał, nie na jego jednego rzuciły swój cień.

Ścigany

Ireneusz Kossowski

TRZY czarne kruki — czarne, bo o białych też słyszał — zakołysały się nad pożegnaniem dróg za Kijanami, zakołysały się tak jakoś dziwnie, że strach zbliżył się na odległość dłoni, a wiadomo przecież wszystkim, którzy w Strzelcach Opolskich, we Wronkach, Rawiczu, w Sztumie byli na dłużej, że szerokością dłoni mierzy się odległość między klatką piersiową, między jej powierzchnią a sercem. Trzy kruki i ich też trzech, po jednym na każdego, po jednym czarnym wyroku na każdego. Więc powiedział: „nie, nie, nie chodźmy tam, to nieszczęście!"; tysiąc książek przeczytał, wiarę miał i wiedzę, choć pięć klas jeszcze przed samą wojną skończył zaledwie. Śmiechem zatkali mu jednak usta, „boisz się, brachu" — kpili z niego, który przecież niezłym kamasznikiem w Strzelcach Opolskich był, gdzie w latach pięćdziesiątych lat kilka przesiedział za przywiązanie do parabelki, którą tu i ówdzie postraszył dla rabunku, tylko postraszył, no i piętnaście lat dostał — skrócone amnestią i dobrym sprawowaniem o ponad połowę. Wyszedł 11 maja 1959 roku, a teraz był 3 września tego samego roku i obora zawalona w gospodarstwie o 6 morgach, i troje dzieci, i żona, którą wziął sobie w wieku lat 23, zaraz po wojnie.

Śmiali się z niego, szydzili w zagajniku niewielkim: ten, co dożywotkę razem z nim w Strzelcach przeliczał, a teraz, zwolniony po dwunastu latach mocą amnestii z 1956 r., przyjechał ze Szczecińskiego do Ryczodołu w powiecie bełżyckim, choć zapraszano go na później, na lepsze czasy, kiedy poczęstunkiem tłustym będzie można kumpla uraczyć, przy „sprycie" powspominać; i ten z Lublina, niecałe pół roku temu zwolniony warunkowo z Raciborza, gdzie piątkę przykazano odsiedzieć, ten, co przez pewien czas w odległym od Ryczydołu o 60 km Rozkopaczewie przebywał, węsząc za okazją — kumpel pierwszego humorysty. „Paszoł won z krukami, co im do tego". A potem jeszcze: „Patrzcie go, w zabobony wierzy!"

„Nie boję się, ale i tak siedzieć będziem". Połamali się chlebem, posilili, bo robota ciężka była przed nimi, w odległości kilkuset metrów budynek spółdzielni wznosił się celem konkretnym — marzeniem, w którym nie było miejsca na oborę z zawalonym dachem, na tyranie za 900 zł miesięcznie, na brak sprytu pod kotlet wieprzowy jak talerz. Naciągnęli babskie pończochy z otworami na oczy, pomacali korkowiec i pistolet: „cały palec wchodził w lufę, nie miał magazynku, ani amunicji". Poszli w kierunku Rozkopaczewa, w powiecie lubartowskim.

Poczta. Ktoś stoi przed budynkiem, więc go za szmaty i do środka, lufa do czoła i „ani piknij", a potem wszystkich na ziemię. 5 457 zł 24 grosze było w kasie. Słuchawka telefoniczna już oberwana, drzwi zamykają od zewnątrz.

Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w tym samym budynku. Tu miały być miliony, a nie ma nic. Jedna z kobiet ucieka, przewracając tego z dożywotki. „Obaliła go, jak snopek żyta". Sznur od telefonu coś mocny, nie daje się przerwać, trzeba uciekać, szczęściem trzy rowery stoją przed drzwiami.

Dwa sklepy Gminnej Spółdzielni w jednym budynku, niedaleko. Litr spirytusu, coś do jedzenia i 13 377 zł 75 groszy — z jednego. W drugim, gdzie za ladą Bibianna Siepsiak, 13 660 zł 16 gr i buty.

Skok na furmankę i galop w kierunku lasu. Tymczasem Zbigniew Biały, zamknięty wraz ze sprzedawczynią w ostatnim sklepie, wyrywa skobel i rowerem pędzi na posterunek MO w Ostrowie.

Rozkołysało się konisko na kamiennej drodze, ledwo przyhamowali po kilometrze, przed lasem. Odwrócili szkapę łbem na Rozkopaczew, zacięli batem po nogach — niech idzie do domu, nie po konie tu przyszli. Ostudzili nerwy spirytusem, podzielili łupy — ten z Lublina miał dzielić, ten sam, co rozdygotał ich ostrą zachłanność tęczową wizją trzech milionów złotych, które miały być w kasie Prezydium. „Po 2 400 wypadło na głowę, słowo".

Niedobry to był dzień, co to za forsa, co to za strach. „Kruki krążyły, ale oni w Boga nie wierzą, gdyby mnie uwierzyli..." Niedobry to był dzień, dzień niezaspokojonych pragnień, dzień narodzenia wzajemnej nienawiści, której nic nie jest w stanie ostudzić. W Nowej Wólce zanurzyli wyschnięte wargi w zimnej wodzie ze studni, pociągnęli po łyku i znieruchomieli: z gwałtownie hamującego samochodu wyskoczyli milicjanci.

Tadeusz Płatek, kumpel ze Strzelc, nie zdążył uciec. Wkrótce potem zatrzymano Tadeusza Szalasta. Wyrokiem Sądu Wojewódzkiego w Lublinie z dnia 4 listopada 1959 r. skazani zostali na dożywocie; nowy kodeks karny zmienił orzeczenie na 25 lat więzienia.

* * *

Do domu w rodzinnym Ryczydole zdążył przed milicją, opowiedział wszystko żonie, ciężka to była rozmowa, ona mówiła, że zmarnował jej życie, on rozpalił się rozżaleniem, klął najbliższych, wspólników, świat cały niesprawiedliwy, co to żyć jak należy człowiekowi nie daje. Spłoszył go jakiś ruch na drodze, pobiegł więc w pole, zapadł za stodołą, przeczekał. I odtąd czekanie w lęku stało się dla niego stanem normalnym.

Z jego polem graniczył las chłopski rozległy, ciągnący się na południe w kierunku Wilkołaza i dalej, aż w lasach janowskich, słynnych z walk partyzanckich, znajdujący swe przedłużenie. Na początku września 1959 roku zniknął w tym lesie; miał wówczas 36 lat.

Tymczasem przez Ryczodół szły obławy milicyjne — jedna, druga, trzecia — nieregularnie odmierzane okresami pozornej ciszy. Przeczesywano i lasy okoliczne, równie bezskutecznie, choć tak blisko człowieka ukrytego w gęstej koronie drzew, że wstrzymywał oddech. Ręce i nogi sztywniały jak konary, które użyczyły schronienia, ale tylko na początku, bo z biegiem czasu doszedł do takiej wprawy, że i trzy i cztery godziny na wysokiej gałęzi wytrzymał.

Jesień rozebrała drzewa z liści, krzaki też przestały chronić, coraz zimniej było w lesie, więc zaczął ryć w ziemi. Pośpiesznie i ostrożnie, dokładnie przedtem badając okoliczny teren — żeby ktoś nie zobaczył, nie zakapował, nie wsadził do więzienia. „Do więzienia nie chciałem".

Wykopał trzy ziemianki, odległe od siebie o jeden i dwa kilometry, największa miała około siedmiu metrów długości i dwóch szerokości. Wydzielił w niej miejsce na sypialnię, magazyn i ustęp, przykrył darniną i krzakami, które podparł pieńkami. Wejście znajdowało się na rozległej polanie, w żadnym tam gąszczu, pod żadnym krzakiem, tylko właśnie w miejscu, gdzie nikt się włazu do korytarza nie mógł spodziewać. Zadowolony był z tej roboty, choć nerwów zjadła mu sporo. Ale każdy dom człowieczy wymaga zachodów i ciągłej troski, a ziemianka stała się właśnie jego domem, w którym niepodzielnie gospodarzył — chyba po raz pierwszy w życiu.

Zaraz po wojnie pojechał z tobołami „na Zachód", w Olsztyńskie, razem z tysiącami podobnych sobie biedniaków lubelskich, gdzie spodziewał się znaleźć wymarzoną krainę wszelkiej obfitości. Dostał 10 hektarów ziemi w wyludnionej wiosce, konia z UNRRA, ale domu od razu nie dostał. Pohandlował trochę krowami i innym towarkiem — „zarobił" 54 tys. zł podatku od wzbogacenia, rzucił więc gospodarkę i wrócił na stare śmiecie. Ożenił się. „Postraszył" trochę ludzi w kilku miejscowościach, trafił do Strzelec Opolskich. A teraz ma własny dom.

Kamena str. 6

„Oddać rufę, oddać dziób, przygotować żagle do postawienia!" — tak brzmiącym rozkazem rozpoczął się najdłuższy bałtycki rejs lubelskiego jachtu. Zanim jednak na jego pokładzie przebędziemy ponad 1 800 mil morskiej wędrówki, przedstawmy go.

Na mahoniowym »Roztoczu«

Ryszard Wolak

NAZYWA się S/Y „Roztocze". Narodził się na rysownicach dwóch polskich konstruktorów Langera i Michalskiego. Później, oczywiście w rysunkach i opisach, trafił jeszcze do warsztatów Szczecińskiej Stoczni Jachtowej. Był budowany dla lubelskich żeglarzy, którzy nie posiadali pełnomorskiej jednostki. Fundusze na to przedsięwzięcie znalazły się dzięki kilkuletnim usilnym staraniom Społecznego Komitetu Budowy Jachtu. W 1968 roku na mahoniowym kadłubie, starym szkutniczym zwyczajem, uroczyście podniesiono wiechę, a po roku jacht, lśniący lakierem, połyskujący niklem i mosiądzem spłynął do stoczniowego basenu. „Roztocze" jest drugą jednostką z serii „Antares". Pierwszy był „Dar Szczecina". Kilka tygodni temu został zwodowany trzeci bliźniak „Kapitan Teliga". Jest on własnością ZHP.

Oto krótki rysopis lubelskiej łódki: długość po linii pokładu — 18 m, szerokość — 4,5 m, wysokość przedniego masztu (grotmasztu) — 22 m, zanurzenie — 2,8 m, prędkość przy sprzyjającym wietrze — około 12 węzłów, powierzchnia żagli podstawowych — 140 m kw. Wyposażenie jej pozwala żeglować w każdych warunkach, nawet sztormu oceanicznego.

Siła napędowa „Roztocza" pochodzi nie tylko z pracy żagli na wietrze. Jacht jest wyposażony w silnik marki „Mercedes" o mocy 35 KM. Służy on do przeprowadzania manewrów w portach oraz bywa używany na morzu, jeśli zbyt długo trwa sztil (cisza morska). Ponadto załoga ma do dyspozycji echosondę pozwalającą bezbłędnie określić głębokość przepływanego akwenu, logi elektryczny i mechaniczny, wskazujące prędkość, radiotelefon, składający się z odbiornika i nadajnika o zasięgu 300 Mm, radionamiernik służący do określania pozycji na morzu, jeśli zawiedzie nawigacja prowadzona przy pomocy map, latarni morskich, boi, tyk itp. Szczególnie jest on przydatny w czasie złych warunków atmosferycznych np. podczas mgły.

Optymalna liczba załogi wynosi 12 osób.

W rejsie do Leningradu, w który właśnie wyruszamy, jest nas akurat dwunastu. Zabraliśmy z sobą około 900 l wody, 150 kg ziemniaków, kilkanaście kilogramów świeżego mięsa, masła, konserwy mięsne, kapustę, groszek, fasolkę w puszkach, zupy w paczkach, 500 jajek, cukier, mleko skondensowane, kilkadziesiąt bochenków razowego chleba, sporo czosnku i trochę wódki (do celów reprezentacyjnych!) Mamy też czekoladę, kakao, mąkę, ryż, cukierki, płatki owsiane, kaszę, śmietanę. Słowem — wszystko, co jest potrzebne do przyrządzania nawet najbardziej wymyślnych potraw. Warunki w kambuzie (kuchni) pozwalają na taki luksus. Jest tu lodówka, czteropalnikowa kuchenka, pełne wyposażenie w naczynia, talerze, sztućce itd. Pali się gazem z butli.

Z załogi czterech jest do rządzenia (kapitan i trzech oficerów) i ośmiu do czarnej roboty, którą rozpoczęliśmy jeszcze w basenie jachtowym w Gdyni. Trwała dwie pełne doby. Gdyby nie nęcąca perspektywa morskiej eskapady na najładniejszym polskim jachcie, to pewnie niejeden wolałby wrócić do Lublina i wybrać się na turnus FWP.

Wychodzimy w morze. Zatoka Gdańska. Losujemy koje do spania. Nie bierze w tym udziału kadra śpiąca w najlepszych miejscach w kabinie nawigacyjnej (kapitan i I oficer) oraz w messie oficerskiej II oficer — ten od wyżywienia. III oficer, dbający o dobry stan techniczny jednostki oraz bosman. My będziemy sypiali w kubryku, tj. części dziobowej. Są tu cztery koje urządzone przy burtach tuż pod pokładem i dwie obok stołu służące w dzień za kanapki. Za najbardziej „atrakcyjne" uważane są dwie koje znajdujące się najbliżej dziobu. Doskonale wyczuwa się w nich wzdłużne kołysanie jachtu, uderzenia kadłuba o fale, itp. Prawdopodobnie są nawet tacy żeglarze, którym pomaga to w szybkim zaśnięciu. Przechodzimy obok Helu. Kierujemy się na... szwedzką wyspę Gotland zamiast prosto do Leningradu. Niestety, wieje północno-wschodni wiatr i nie da się tak ustawić żagli, aby iść w linii wiatru. Zaczynamy normalne życie, dzielone na wachty, spanie, jedzenie i opalanie się. Tylko od czasu do czasu rytm ten będzie zakłócany innymi wydarzeniami. Wylegiwanie się na deku rychło się kończy, bo zapanowała typowo jesienna pogoda.

Omijamy od strony szwedzkiego wybrzeża Gotland. Jesteśmy już po spotkaniu z żołnierzami naszego morskiego sąsiada, którzy zaintrygowani całodobową obecnością „Roztocza" przy ich brzegach (nie było wiatru) dopłynęli motorówką, aby zobaczyć nas z bliska i spytać, dokąd zmierzamy. Wiemy też już dokładnie, na czym polega wachta. Otóż pełni się ją we trzech: oficer i dwóch członków załogi. Ten pierwszy, najczęściej z niesamowicie mądrą miną i z nieodłączną fajką w ustach, wykreśla kursy na mapie i orientuje jacht w położeniu. Dwaj pozostali sterczą na zmianę za kołem sterowniczym, usiłując dokładnie utrzymać kierunek marszruty, lub na dziobie, wypatrując wszystkiego, cokolwiek może pojawić się w zasięgu wzroku wzmocnionego lornetką. Tak przez cztery godziny. Później osiem godzin przerwy i znowu wachta. Najgorsza wypada między godzinami 24 a 4 rano. Cała noc jest wtedy zarwana. Nie ma też powodów do radości, gdy jest się (koleżeńskim „Pospałbyś jeszcze?") budzonym na tzw. świtówkę (wachta w godz. 4—8). Nie tylko w czasie jej trwania trzeba stać „na oku" i sterować, ale obowiązkowo przed podniesieniem bandery należy wyszorować pokład i oczyścić mesingi, tzn. wszystkie znajdujące się na nim metalowe części osprzętu.

Wchodzimy do Zatoki Fińskiej. Wieje silny zachodni, a więc pomyślny dla nas, wiatr. To nic, że gnane przez cały Bałtyk fale są tutaj kilkumetrowej wysokości. Wysokie i długie nawet dość przyjemnie niosą. Dają się tylko we znaki kukowi, który nie może poradzić sobie w takiej sytuacji z przygotowaniem na czas pełnodaniowych posiłków.

Gdy tylko morze przycicha, II oficer zapowiada uroczyste spotkanie o północy. Obowiązuje wieczorowy strój. Każdy przyobleka więc białą koszulę, wiąże krawat, „wbija się" w marynarkę. Spodnie dowolne, jako że zza stołu nie będzie widać. III oficer i bosman, uchodzący za kulinarnych speców zaserwowali: sałatkę jarzynową, jajka faszerowane, szaszłyki, kiełbasę jałowcową, gulasz angielski, wyborną herbatę, a kapitan łaskawie pozwolił wypić po jednym maleńkim „Żytniówki". Po dwóch godzinach biesiadowania wychodzimy na dek. Mimo nocy jest prawie widno. Do złudzenia przypomina to zmierzch tuż po zachodzie słońca. Świeci duży blady globus księżyca. Białe noce. Będziemy je jeszcze podziwiać w Leningradzie i w drodze powrotnej z tego miasta.

Siódma doba na morzu. Widać już zarys leningradzkiego portu. Bierzemy na pokład pilota. Cumujemy nad ranem w basenie przeznaczonym dla drewnowców.

Program pobytu w Leningradzie: zwiedzanie miasta z okien autokaru, 2-godzinne oglądanie dzieł w Ermitażu, zwiedzanie muzeum morskiego, słynnej Twierdzy Pietropawłowskiej i innych zabytków. Składamy też wizytę w jednym z największych tutejszych klubów żeglarskich. Zawodnicy „Wodniaka" należą do ścisłej czołówki ZSRR. Kierownikiem klubu jest były żołnierz, który w formacji czołgów wyzwalał Lublin. Oczywiście — wspomnienia. My mówimy o dniu dzisiejszym naszego miasta.

Po czterech dniach na lądzie znowu wychodzimy w morze. Pilot wyprowadzający nas z portu przestrzega przed pływającymi w Zatoce Fińskiej minami. Tydzień wcześniej natknął się na taką pozostałość II wojny jeden ze statków handlowych. Szczęśliwie skończyło się tylko na emocji.

Tallin — stolica Estońskiej SRR. Jesteśmy tu od dwóch dni. Poznaliśmy stare miasto budowane w wiekach XIII—XVIII, zwiedziliśmy zamek gotycki, ratusz i inne obiekty. Do gustu przypadł niektórym „Ararat" — lokal, w którym sprzedaje się na szklanki różne gatunki win. Pije się stojąc przy wysokich stolikach. Przez bar przewija się mnóstwo ludzi. Są też i stali bywalcy. Pijanych jednak nie widać. Miasto znacznie różni się swym charakterem od Leningradu. Przede wszystkim jest ponad dziesięciokrotnie mniejsze pod względem liczby mieszkańców (330 tys.). Jego centrum stanowi zabytkowa zabudowa, która tętni pełnią życia. Różnorodność form architektonicznych, kręte i wąskie uliczki sprawiają niezapomniane wrażenie.

Droga do Rygi. Bez specjalnych wydarzeń. Spanie, jedzenie, wachta — oto rytm życia na jachcie. Co pewien czas alarm manewrowy. Stawia się jedne żagle, zrzuca inne w zależności od siły wiatru. Przez kilka godziny idziemy bardzo pomyślnym kursem pod żaglami o łącznej powierzchni prawie 300 m kw. Na ziemi można byłoby nimi przykryć sporą działkę w ogródku pracowniczym „Nasza zdobycz nad Bystrzycą" w Lublinie. Białe płótna nad pokładem to duży spinaker, apsel i grot. Zrywa się silniejszy nieco wiatr i czym prędzej trzeba zrzucać balonfoka. W przeciwnym razie mógłby pęknąć. Wytrzymuje prędkość wiatru do 5 stopni w skali Beauforta. Przed wejściem do portu mgła i siąpi deszcz. Nakładamy sztormaki (ubrania nieprzemakalne) i „kotwice". Kotwicami nazywa się buty gumowe. Ciekawym genezy tej nazwy można poradzić, żeby wyskoczyli w nich za burtę. Kręcimy się wokół jakiejś boi. O wejściu w nurt Dźwiny nie ma co marzyć, bo jest jeszcze ciemno, a poza tym w locji

Dokończenie na str. 11

Obrazek nader rzadki: kapitan pofatygował się i rzucił okiem na kompas przy kole sterowym.

W Rydze trafiliśmy na przygotowania do nocy świętojańskiej...

Zdjęcia autora

Trzeba go umeblować, przede wszystkim trzeba legowisko wygodne urządzić. Do własnego pola nie dalej niż cztery kilometry, do innych pól jeszcze bliżej, a tam stodoły pękate — owsem także. A noce opiekuńcze i coraz chłodniejsze, lecz strach gorący.

Dokładnie trzepie słomę z owsa, suszy mech, piłuje wałki z osinowego drewna, wbija kołki w ziemię nory. „Osina nie gnije, nie próchnieje, drążek o średnicy 10 centymetrów może być w ziemi 5 i 7 lat, lepsze to od dębu". A on ma zamiar przetrwać tu lat d z i e s i ę ć, musi przetrwać co najmniej tyle, bo ktoś mu kiedyś powiedział — może w Strzelcach, że po latach ukrywania się władza ludowa wybacza wszystko, karę daruje. Niedawno zresztą, kiedy zakradł się w jakieś obejście po wodę i zwabiony światłem z okna chałupy znieruchomiał pod parapetem, podsłuchał rozmowę, z której wynikało, że Płatek i Szalast dostali dożywocie. To była niedobra wiadomość dla 36-letniego mężczyzny, który chciał żyć szybko, mocno. Więc lepiej dziesięć lat w ziemi i w lesie, niż na zawsze w murach, gdzie, owszem, jedzenie niezłe, kumple, a i ciekawych rzeczy można się nauczyć. „Więzienie to szkoła, tam pouczyli mnie, jak się ukrywać. A człowiek, który chce się ukrywać, nigdy nie będzie złapany. Ale musi umieć".

Legowisko gotowe, wałki słomą upchane, spać można wygodnie i spokojnie, bo przecież kryjówka zamaskowana pięknie. Raz, dwa, trzy — Matko Boska! Matko Boska! Matko Przenajświętsza! Ktoś chodzi po stropie, przystaje, jakby się pochylał nad ziemią, badał uważnie podłoże. Znów słychać kroki, ciężki ten ktoś, chyba w hełmie i z bronią w ręku. Cisza, długa cisza. O Boże...

W więzieniu, owszem, jedzenie niezłe, ale dopiero pół roku temu wyszło się s t a m t ą d, po siedmiu latach kiblowania, a tu tyle przestrzeni, nikt nie popędza, nikt nie każe robić tego czy tamtego.

Dobra jest jesień, dobra będzie wiosna i lato, ogrody puchną pomidorami, ogórki jak kłody, kartofle wyłażą na powierzchnię, najeść się łatwo do syta, a i magazyn pełny warzyw i owoców. Obław już nie ma, tylko gospodarkę milicja dyskretnie obstawia, dobre i doświadczone oko rozpozna jednak z daleka, kto to tąki kręci się koło chałupy, żadne ryzyko w żyznej ziemi pogmerać, szybkim ruchem wyciągnąć kartofel jak pięść. Do tego las bogaty.

Najlepiej wstać o świcie i pojść w kierunku Wilkołaza, gdzie grzyby zagonami brązowieją: wielkie, mięsiste, zdrowe. Koło tej sosny skrzywionej skręcić trzeba w lewo, po dwóch kilometrach prostej ścieżki, wydeptanej przez sarny, lekko w prawo, potem przez polanę zarosłą trawą do brzucha. Już. Grzyby, że kosić. Dwie, trzy godziny roboty. Teraz do wilczych dołów, magazynów gąsiowych, dobrze zamaskowanych. Krótkie czekanie. Są, są już baby z okolicznych wiosek i paniusie miastowe z koszami wielkimi na prawdziwki i maślaki. Pochylone nad ziemią, cierpliwie szukają. Któraś kląć zaczyna, nerwowa: grzybów mało i mizerne. Wtedy on wychodzi zza drzewa, w obu dłoniach ledwo niesie leśny urobek. Kupują, tym chętniej, że tanio bierze, woli zresztą zapłatę w naturze: kaszę, makaron, denaturat do kuchenki. Czasami jakaś spojrzy uważniej w twarz. Co ona tak patrzy? Człowieka nie widziała? Cholera głupia! Jutro lepiej nie wychodzić.

Więc nazajutrz naciąga borowiki na długie druty, wyszperane nocami w stodołach, rozciąga je na wysokich sosnach — oko nie dojrzy — suszy. Sprzeda je wczesną wiosną, część sam zje; nie samym kartoflem człowiek żyje.

Najgorzej w zimie, na śniegu ślady wyraźnie widać, głupi ryzykowałby dalsze wyprawy, najlepiej przesiedzieć w wielkiej ziemiance, dobrze w żywność zaopatrzonej, w największe mrozy tak ciepłej, że w koszuli samej trzeba siedzieć. A jak się siedzi bez ruchu, to żołądek nie burczy, wystarczą dwa posiłki dziennie; gotuje nocami. Siedzi w ziemi przykrytej śniegiem — trzy — cztery miesiące. Jak zwierzę.

Czas się powoli łamie, dni przestają być ważne, pory roku odmierzają czas dzielący od wyzwolenia ze strachu, który rzuca na kolana do modlitwy. Odmawia różaniec więziennym sposobem, na palcach obu dłoni: Radosna, Bolesna, Chwalebna... Ten sposób ze Strzelc jeszcze, przekazany przez pułkownika „Michała", szefa NSZ na okręg lubelski, skazanego na dożywocie.

Fizycznie czuje się dobrze, nie choruje. „Jakbym zachorował i umarł, to od razu jak w grobie. Zawaliłoby się na mnie". Ostatnio chorował w 1943 roku: na tyfus w obozie na Majdanku, gdzie więziono go 9 miesięcy. Ojciec dwukrotnie pisał prośby do Franka o zwolnienie dwudziestoletniego syna. Nie doczekał się go jednak w domu, umarł na atak serca. Na cmentarzu w Wilkołazie został pochowany razem z córką, którą junak, Niemców zaufany, zastrzelił na Majdanku, po czym inny junak, narzeczony Leokadii, władował tamtemu mordercy cały magazynek w brzuch i uciekł do partyzantów; żyje podobno do dziś.

Ile to już lat upłynęło? Chyba siedem, na pewno siedem. W dalszym ciągu nic mu nie dolega. „Świeże powietrze w lesie". Dostosował się do praw lasu, ponaginał te prawa do własnych potrzeb. „Nikogo z rodziny przez cały czas nie widziałem, do domu nie zachodziłem, bo po co? Z żoną się pokłóciłem, a o wpadkę we własnej wsi łatwo". Rzadko zachodzi jednak do innych wsi i osad, gdzie zaopatruje się w chleb oraz konserwy mięsne i rybne. „Przed spółdzielnią w Wilkołazie dałem dzieciakowi pięć złotych, to i chleba mi kupił". Może ludzie zapomnieli?

Średniego wzrostu, barczysty, z lekka zaledwie łysiejący nad czołem mężczyzna buduje sobie kolejny świat, podobny przecież, mimo odmiennej scenerii, do tamtych, z przeszłości, w których ogólnie przyjęte normy życia społecznego i moralności funkcjonują w pokrętny sposób. „Tatuaż? Nie mam tego paskudztwa, nie jestem przecież z ł o d z i e j e m!".

Sporo już gazet w ziemiance, potłuszczone, ponaddzierane, troskliwie wygładzone leżą w pobliżu łóżka. Zbiera je po lesie — strzępy opakowań do kanapek, pozostawione przez wycieczkowiczów. Czyta, zimą kilkakrotnie te same informacje i artykuły, choć lewe oko nieco nadwerężone pierwszą pracą więzienną, w piekarni, gdzie 500-watowa żarówka tłamsiła źrenicę, i uderzeniem leśnej gałęzi. „W Strzelcach zarobiłem 1500 zł i za wszystko kupiłem książek. Posłałem je najmłodszemu do domu, lubi książki, za mną jest, a ja za ojcem. Żona i dwóch starszych nie lubią". Zna Sienkiewicza, Mickiewicza, bodaj całego Londona przeczytał. „Najbardziej lubię książki historyczne, wojenne, o morzu, o wyprawach na daleką Północ, o Indianach. Winnetou kilka razy czytałem... O tych Indianach mało się u nas wie... Chciałbym jeszcze dostać Czarnego Mustanga"...

W październiku 1969 roku szedł przez las, kiedy nagle zatrzeszczały gałęzie i stado saren wypadło wprost na niego, znieruchomiałego w lęku. Przełamał się jednak szybko, uskoczył za pobliską kępę krzaków, czeka w cichości. Za sarnami wybiega jakiś mężczyzna ze strzelbą w dłoni, więc go łup! kijem w dłonie i „stać, bo milicja!" Tamten wypuszcza broń z ręki i ucieka. „Nigdy z niej nie strzelałem".

Po dziesięciu latach i siedmiu miesiącach Józef Janczarek, urodzony w 1923 roku, pojawia się w kolonii Kłodnica Górna, w powiecie bełżyckim. „Szedłem ze strzelbą na posterunek, chciałem się ujawnić". Zatrzymany przez milicję, osadzony zostaje w Wojewódzkim Areszcie Śledczym w Lublinie. Wyrok Sądu Wojewódzkiego opiewa na 15 lat więzienia: za przestępstwa popełnione w 1959 roku i za napady rabunkowe w 1968 roku. „W napadach z 1968 nie brałem udziału"! Świadek oskarżenia Franciszek Adolf Sepuła, doprowadzony z więzienia, oświadcza coś zupełnie przeciwnego. „Dużo ludzi mówiło — odpowiada Janczarek — że ja dokonuję przestępstw, a to ktoś inny robił na moje konto. Później milicja pozbierała tych „Janczarków"... Milicjanci mówili, że mnie w trzy tygodnie złapią. I po dziesięciu latach nie złapali". Adwokat Józefa Janczarka wystąpił o rewizję wyroku.

• • •

— Panie Janczarek, a jeśli rewizja nic nie da?

— Trudno, jakoś to będzie, ale gdybym wiedział, że dostanę 15 lat, ukrywałbym się do dziś. Tam byłem wolny...

— Nie słyszał pan o amnestii?

— O amnestii dowiedziałem się dopiero 8 kwietnia 1970 roku, w dniu, kiedy szedłem się ujawnić i zostałem zatrzymany.

— Ile lat, w sumie, ukrywał się pan i przebywał w więzieniach?

— Dwadzieścia jeden. Z m a r n o w a ł e m n a j m ł o d s z e l a t a... Żebym chociaż wziął te 100 tysięcy...

Kamena str. 7

Pokolenie oryginalnych i utalentowanych

Dokończenie ze str. 1

mosferę stagnacji i uproszczeń w literaturze. Powieść ta, zrywając ze schematyzmem, wywołała ogromne wrzenie i spory w środowisku krytyków oraz pisarzy, a przyjęta została z jednoznacznym aplauzem przez rzesze czytelników. W niemałym stopniu przyczyniła się ona do zwycięstwa w walce przeciw literaturze szablonów i monotematów. Pisarze powoli zaczęli się wyzwalać z narzuconych im ograniczeń, przełamywać dogmatyzm, przesuwać z pierwszego planu maszynę i fabrykę, a wprowadzać człowieka z całym nieuproszczonym jego bogactwem przeżyć, postaw, poglądów, zwycięstw i niepowodzeń. Trzeba jednak było czekać jeszcze cztery lata — do kwietniowego Plenum KC BPK, które dokonało likwidacji kultu jednostki i obciążeń wynikających z tego zjawiska — zanim pisarze wyszli na szersze drogi poszukiwań twórczych, nie odżegnując się jednak generalnie do dnia dzisiejszego od socrealizmu, rozumianego jako metody twórczości. Sprzyjające warunki, dające pisarzom większą samodzielność, wyzwoliły inicjatywę środowiska literatów, zdynamizowały to środowisko, stworzyły szansę dla tych, którzy dotąd nie mieścili się w przyjętym przez politykę kulturalną nurcie. Toteż pierwsze lata po kwietniowym Plenum 1956 r. zrodziły całe pokolenie prozaików i poetów. To oni właśnie nadają dziś zasadniczy, rzekłbym nowoczesny, ton literaturze bułgarskiej, znajdując duży i żywy oddźwięk wśród kręgów czytelniczych w kraju i za granicą. Owo pokolenie ma bowiem co czytelnikowi proponować i umie tym propozycjom nadać wartościowy kształt literacki.

Nie oznacza to bynajmniej, iż pisarze średniego pokolenia tracą w konkurencji z tym dynamicznym a utalentowanym pokoleniem. Tak się nie dzieje, może i dlatego, że nie ma potrzeby rywalizacji (może i ambicji?), ponieważ dla każdego starcza pola dla twórczej działalności, a uprawiających tę niwę nie jest znowu tak dużo. Związek Bułgarskich Pisarzy liczy niewielu ponad 350 członków. Zgodnie więc egzystują najstarsi, obok średnich i młodszych wiekiem pisarzy. Ma to i nieco ujemne skutki: stabilizacja i brak rywalizacji nie służą literaturze: brak dyskusji odbiera jej ostrze, siłę, jaskrawsze barwy i możliwość dostrzegania i podejmowania tematów ambitniejszych, niż te, jakie zakreśla „mały realizm" — notabene, pojęcie bułgarskiej krytyce obce, mimo iż produkcji tego nurtu pojawia się ostatnimi laty aż nadto.

Mówiąc o pisarzach najstarszych i starszych, należy podziwiać ich literacką żywotność, nadążanie za duchem czasów, trzymanie ręki na pulsie rzeczywistości. Do takich należą z najstarszych (70—80-latków) m. in.: G. Karasławow, L. Stojanow, A. Karalijczew, poetki — E. Bagriana i D. Gabe; z pokolenia debiutującego w ostatnich latach przed wybuchem I wojny światowej i tuż po wojnie: E. Stanew, K. Kalczew, W. Weżinow, A. Guliaszki, I. Martinow, E. Manow, B. Rajnow, A. Nakowski, a z poetów — W. Petrow, W. Chanczew, Blaga Dymitrowa, Bożydar Bożiłow, Radoj Roiin i inni.

Pokolenie lat 60-tych

Prym jednak — jak się rzekło — wiedzie dzisiaj utalentowane i oryginalne w swej twórczości pokolenie prozaików, debiutujących w latach 1957—1962 oraz ich rówieśników poetów, którzy wprawdzie wystartowali nieco wcześniej (często debiuty już w latach 50-tych), lecz uformowali się i ukształtowali jako dojrzali twórcy w latach 60-tych. Spośród beletrystów „Pokolenia — 60" do bezsprzecznie najwybitniejszych należą: Nikołaj Chajtow, Jordan Radiczkow, Genczo Stoew, Georgi Markow, Diko Fuczedżijew. Zanim poświęcimy im chwilę uwagi, kilka słów natury ogólniejszej.

To, co jest najbardziej charakterystyczne dla literatury bułgarskiej, znajduje swe uzasadnienie w podejmowanej tematyce. Literatura bułgarska jest tematycznie w dużej mierze zwrócona ku wsi. Jeżeli jednak dla pisarzy starszych pokoleń, wieś była sama w sobie tematem, motywem, miejscem akcji, to obecnie dla młodszych pisarzy stała się ona przede wszystkim tworzywem, źródłem inspiracji poczynań literackich, źródłem, z którego czerpie się strukturę językową, całą symbolikę ludowej mądrości i twórczości zamkniętej w sagi rodowe bułgarskiej zadrugi (duże klany rodzinne), bogaty folklor i cerkiewno-ludową mitologię. W oparciu o tak właśnie pojęte tworzywo literackie powstały dziesiątki opowiadań, składających się na bogatą twórczość grupy pisarzy zafascynowanych wsią, jak J. Radiczkow, N. Chajtow, I. Petrow, J. Wyłczew, D. Wylew. Właśnie opowiadań — bo ten gatunek jest najtypowszy dla Bułgarów. J. Radiczkow w czasie jednej z rozmów ze mną, powiedział: *Nasza literatura ma największe osiągnięcia w zakresie opowiadań i nowel. Każdy naród jest utalentowany na swój sposób. Bułgarzy mają talent właśnie do małej formy literackiej, o czym łatwo się przekonać, poznając ustną i pisaną twórczość ludową naszego narodu.*

Gdyby przyszło szukać prekursorów twórczości wyżej wymienionej grupy pisarzy, niewątpliwie wskazać by należało na J. Jowkowa, Elina Pelina, a z obcych Czechowa i Turgieniewa. Wszystkich ich łączy zauroczenie kulturą ludową i fascynacja ojczystą przyrodą, jej ścisłym, atawistycznym związkiem z losami wiejskiego człowieka.

Mimo iż bliscy sobie, w jedną stronę patrzący, z podobnych sakiew czerpiący — przecież każdy z omawianych przedstawicieli „Pokolenia — 60" jest odmienny jako twórca. Radiczkowa urzeka ludowa opowieść i legenda, zaskakujący w wyniku zestaw tradycji i mitologii wiejskiej ze wdzierającą się współczesnością, interesuje go prosty wieśniak i tajemnica życia owcy, wróbla czy świniaka, a wszystko to przedstawia w pryzmacie groteski, paradoksu, życzliwej światu i ludziom ironii. J. Wyłczewa znów interesuje historia widziana oczyma chłopa, dla którego fakty różnej wagi mają jednakowo wielkie proporcje, a są przy tym wymieszane z legendą i mitologiczną symboliką. Taki właśnie świat odnajdziemy w tomie opowiadań Wyłczewa pt. „Rodichme se zmejowe". Bliski Radiczkowowi (ale bez charakterystycznego dla niego paradoksu i personifikacji świata przyrody) są W. Pietrow i D. Wylew. Ten ostatni wiekiem jest ich rówieśnikiem: jako pisarz wystartował dopiero w 1966 r., ale też jego opowiadania „Pokrainina" i powieść „Juznjak" szybko pozyskały czytelnika.

Bliski tematyce, inny w stylu i formie od pozostałych, jest N. Chajtow, chyba największa osobowość pisarska omawianego pokolenia. Z wykształcenia inżynier leśnik, z umiłowania pracujący przez całe lata w terenie, w górach Rodopów, Riły i Pirynu — opisuje przede wszystkim świat przyrody. Jego najlepsza książka pt. „Diwi razkazi" ma być wydana w języku polskim jeszcze w tym roku.

Inny świat interesuje G. Stoewa. Z wykształcenia filozof, jest przede wszystkim zapatrzony w duchowe i moralne konflikty człowieka. Sławę przyniosła mu niewielka powieść „Cena złota", będąca filozoficzną opowieścią o okrutnie stłumionym przez Turków powstaniu w 1876 r. W swych opowiadaniach współczesnych ukazuje robotnika i jego konflikty wewnętrzne z otaczającym go światem. Podobną tematykę — miejska, robotnicza współczesność i walka w tworzeniu nowego — odnajdujemy w twórczości D. Fuczedżijewa („Gnewno pytuwane", „Nebeto na Welika"). Natomiast G. Markow, obracając się w kręgach problemów tzw. międzyludzkich stosunków, stara się je ukazać w kategoriach prozy psychologizującej.

Do „Pokolenia — 60" — obok wymienionych — należą również popularni i cenieni pisarze (w nawiasach tytuły książek wydanych w Polsce, jak: Aleksander Karasimeonow („Tak bardzo pożądane przyjaźnie"), Anton Donczew („Czas wyboru"), Ewgeni Konstantinow („Chrzest"), Łada Galina, Wera Mutawczijewa, Luben Diłow i nieco młodszy Milczo Radew („W sobotę wieczorem").

W kręgu poezji

Bułgaria jest małym krajem o wielkiej poezji — pisał przed kilku laty utalentowany poeta młodszego pokolenia W. Baszew. I chociaż to twierdzenie nie całkiem odpowiada prawdzie — bardziej wynika z patriotycznej dumy, aniżeli z rozeznania w poetyckich lotach w innych krajach — jedno jest bezsporne: funkcja społeczna i popularność poezji w Bułgarii jest ogromna i można ją porównać jedynie z chłonnością i wrażliwością na poetyckie słowo w Związku Radzieckim.

Chociaż nieustającą popularnością wśród czytelników cieszą się wszyscy dobrzy — bez względu na wiek — poeci (najstarsi: L. Stojanow, E. Bagriana, D. Gabe, A. Dalczew, A. Razewetnikow, N. Furnadżijew; ze średniego pokolenia: A. Gerow, W. Chanczew, W. Petrow, B. Rajnow, B. Dymitrowa, B. Bożiłow), to przecież ton i styl nadaje dzisiaj owo umownie nazwane „Pokolenie — 60". Lata 1950—1960 należą chyba do najciekawszych, twórczych i dynamicznych w bułgarskiej poezji. W ostatnich latach wprawdzie temperatura w poetyckim tyglu opadła, nie oznacza to jednak, że poezja ich zatraca żywotność. Prawdą jest bowiem, że pokolenie, które debiutowało w latach 50-tych, a okrzepło w 60-tych, powoli zaczyna żegnać się z młodością, a chyba i z młodzieńczo-poetyckimi ideałami i iluzjami. Podporządkowani kryteriom polityki kulturalnej, żyjący w atmosferze stabilizacji kulturotwórczej, już nie dążący do wyzwolenia się z pęt tradycyjnych konwencji wiersza, dźwigają ciężar nieco mieszczańskiej codzienności, która bynajmniej wyzwalająco i inicjująco na poezję nie wpływa.

Poezja bułgarska, nawet ta z okresu modernizmu, zachowała charakter realistyczny, opiewający losy człowieka, jego walkę o człowieczeństwo, godność ludzką i sprawiedliwość społeczną; opisywała piękno i miłość do ojczyzny. Nigdy na większą skalę nie była to poezja intelektualizująca i estetyzująca, akcentująca poetyckie „ja". I z grubsza mówiąc taką została do dziś, chociaż wielu poetów tej poezji realizmu socjalistycznego potrafi umiejętnie godzić poetyckie „my" z „ja".

Wyraźnych tendencji ku poezji refleksyjno-filozoficznej, tzw. osobistej, lirycznej — nie było i nie ma, co nie oznacza braku wierszy, gdzie właśnie te elementy dochodzą w pełni do głosu. Poezja Ludowej Bułgarii w swym zasadniczym zrębie stara się ukazać człowieka i przemiany zachodzące w kraju budującym socjalizm. Z tym jednak, że jeżeli przed 1960 r. można było tę poezję nazwać szczerze zaangażowaną, walczącą i dynamiczną, to obecnie jest ona co najwyżej sprawnym warsztatowo spełnianiem postulatów polityki kulturalnej, rozumianej zbyt dosłownie jako oręż ideologicznego oddziaływania, a zamkniętej w hasło „Bliżej życia, bliżej narodu". Niewątpliwie swą treścią — nazbyt często okolicznościową — wiersze te są coraz bliżej życia i spraw kraju, ale też coraz dalej (oczywiście, nie generalizuję zjawiska) od poezji wysokiego lotu i dużego kunsztu artystycznego. Zawężony krąg tematyczny, zbytnia podejrzliwość wobec poetów poszukujących, spłyca tę poezję, pozbawia żywego pulsowania, szczerego odczucia, głębi i filozoficznej refleksji. Jest to poezja pozornie tylko społecznie funkcjonalna w sensie przedstawianych treści, toteż czytelnik woli sięgać do poezji lat wcześniejszych. Nie jest ona też w formie i konstrukcji nowoczesna. Zbyt głęboko utknęła w tradycji i nie potrafi się z niej wyzwolić, w czym niemała „zasługa" nazbyt ciasno patrzącej na poezję krytyki.

Ton poezji — jak już zaznaczyliśmy — nadaje obecnie pokolenie 35—40-latków, spośród których (a jest to grupa licząca ponad 30 nazwisk) na szczególne wyróżnienie zasługują (w nawiasach daty urodzenia) poeci: Lubomir Lewczew (1935), Pyrwan Stefanow (1931), Damian Damianow (1935), Andrej Germanow (1932), Nikoła Indżow (1935), Petyr Karaangow (1931), Christo Fotew (1934), Sław Ch. Karasławow (1932) i poeta-Cygan Usim Kerim (1928). Do tych nazwisk należy doliczyć tragicznie zmarłego, wielce dziś popularnego poety-robotnika Peniu Penewa (1930—1959), który pozostawił po sobie poezję pełną romantycznego patosu, walki i buntu, jakby w duchu Majakowskiego, oraz Władimira Baszewa (1935—1968) — utalentowanego autora wierszy intelektualizujących, pełnych zadumy, ironii, sarkazmu i refleksji, zrywających z utartymi konwenansami. Baszew zginął w katastrofie samochodowej.

W poezji Penewa i Baszewa zawarta jest wiara w sens tego, co tworzy człowiek, ale równocześnie pełen niepokoju sceptycyzm, coraz częściej dobijający się do umysłów Homo XX wieku. W poemacie „Dni próby" pyta Penew:

Czy pojmiesz moją trwogę,
pokolenie?
I czy zrozumiesz, że z niej się
wywodzą
I gorycz strachu i zwątpienie?

W tej samej tonacji pyta w „Zadumie" Baszew:

Jeżeli niczego nie możemy dać
światu,
to pocośmy tu zrodzeni?

a w wierszu „Muzyka wieczorna" powie w zadumie:

Dobra muzyka umiera we mnie
a wszelki poryw
zamknięty jak więzień
w niedorzeczne okrzyki się zmienia.

Gdyby przyszło w jednym zdaniu scharakteryzować tę pokoleniową grupę, to powiedziałbym, że w latach 60-tych byli oni pełni buntu przeciw małym wymiarom mieszczańskiego żywota, które w swej ciszy i wygodzie tchnie duchową pustką, że do wyrażenia swego sarkazmu, krytyki, refleksji filozoficznej — szukali własnego języka, odrzucali banal, smakowali w precyzji słowa, zmieniali ogólnikowe „my", na intelektualne „ja", że odnajdowali nowe dla bułgarskiej poezji granice, przekraczali je. Poeci ci wchodzą jednak w wiek dojrzały („Wiek męski, wiek klęski"), a wraz z nim coraz bardziej sobie cenią mieszczański model małej stabilizacji.

O najmłodszych

Najmłodsze pokolenie literatów bułgarskich wchodzi do literatury z dużymi ambicjami i minimalnym doświadczeniem. Trudno ich dzisiaj ocenić. Ich dorobek stanowi kilka wierszy, tomik poezji, tom opowiadań. Są to dopiero wizytówki. Ale nawet o tych, którzy mają za sobą i dwie, trzy książki jeszcze nic konkretnego powiedzieć nie można, poza jednym: potrafią pisać językiem precyzyjnym, ładnym i funkcjonalnym. Lecz na cóż zda się dobry warsztat, jeżeli brakuje surowca? A surowca, owej prawdziwej znajomości życia i doświadczenia, niestety brak.

Kiedy pytałem Radiczkowa: Co sądzi o najmłodszych? — odpowiedział: *Na co ich stać, pokaże czas. Jedno jest pewne — młodzi stają się literatami bez dostatecznej znajomości życia, bez posiadania ważnych biografii. Ich życiorysy są identyczne. Mają za sobą szkołę, uczelnię, wakacje nad morzem, pierwszą miłość. I to stanowi ich cały bagaż doświadczeń, które wydają się im dostatecznie ważne, aby chwytać za pióro i przelewać je na papier.*

Nie wiem jak w poezji, ale w prozie pisarz musi dysponować bogatym materiałem życiowym, dużym osobistym doświadczeniem.

Mimo tych niepokojów pisarze bułgarscy wierzą, że ich miejsce zajmą godni i utalentowani następcy. Na razie starają się co zdolniejszych otaczać mecenatem, co — jak poucza życie — jednym pomaga, a drugim szkodzi.

Spośród niemałego grona najmłodszych poetów na czoło wysuwają się ci, o których już dziś można powiedzieć, że odegrają niepoślednią rolę w bułgarskiej literaturze, jak: Wania Petkowa (ur. 1941), która na poetycki parnas nie weszła, a wdarła się z całym impetem swej młodzieńczej, poetyckiej śmiałości; dalej — Stefan Canew (1936), Nikoła Kynczew, Iwan Dinkow, Niediałko Jordanow, Georgi Konstantinow (1943), Christo Bankowski (1937), Petko Bratinow (1939), Matej Szopkin (1939), Jordan Jankow (1936), Iwan Wylew (1942), Stojczo Stojczew (1937), Boris Wołczew (1936), Iwan Canew (1941), Iwan Nikołow (1937), Georgi Bogdanow (1944).

Wyżej wymienieni już wystartowali, ale jakim lotem każdemu z nich przyjdzie szybować w krainie poezji — dziś jeszcze za wcześnie na odpowiedź.

Nieco gorzej ma się rzecz z prozą najmłodszych. Ci szybko nie doścignął chyba pokolenia lat 60-tych. Pióro mają gładkie, pisać potrafią, ale rozmachu im brak, a niedostatek doświadczeń życiowych spycha ich na mielizny miałkiego małego realizmu, obracania się w kręgu knajpy, samochodu, dziewczyny.

Ze znacznie uboższego tak liczebnie, jak i ilościowo w porównaniu z grupą poetycką, grona — wyróżnić należy jedynie Lilianę Michajłową (ur. 1937), Donczo Conczewa, Georgi Weliczkowa (1938), Kolio Nikołowa (1941). Pierwsze kroki stawiane przez paru innych, niczego jeszcze nie zapowiadają, więc przedwcześnie na ich prezentację. W każdym razie warto śledzić te próby, polecając jednak polskim czytelnikom tych, którzy znaleźli już trwałe miejsce w literaturze i zdobyli popularność daleko poza granicami Bułgarii, a tylko w naszym kraju nie mogą jakoś znaleźć szerszego rezonansu. Gdzie tkwią przyczyny, zasugerowałem we wstępie.

Stefan Maciejewski

Petyr Karaangow

Wrześniowa melancholia

Ogromna pełnia księżycowa
nad miejskie wznosi się balkony.
Niejasny gród. Niejasne słowa
ronione z czarnych mikrofonów.

Wyschłe od wiatru tchnień codziennych,
walą się domów cegły kruche.
Żyjemy źle...
Ku dniom jesiennym
wracam i szeptu ziemi słucham.

Za horyzontu linią siną
gasnących słyszę szum topoli
I mnie odurza siwym dymem
nieokreślona melancholia.

O, melancholia dni wrześniowych!
Latem mnie cios błyskawic chłostał...
W znużonych dłoniach mych surowych
niejeden pewnie chwast pozostał.

Przejściowa chwila!
Czas mnie nosi
w przestrzenie gorzko przeszumiałe.
Niby roślinnych pyłów posiew
wiatry-marzenia mnie rozwiały...
Wrzesień....
Dziewczęta chłodnolice
przechodzą. Wraca znów godzina
wieczornych spotkań przy muzyce
gdy gaśnie płomień u komina.
I mrok jest we mnie! Kiełków młodych
zielonych blask się we mnie nurza...
I wieszczą zimy wczesne chłody
dalekie, w mgłach, podmiejskie wzgórza.

Autor tego wiersza jest obecnie w Polsce na stanowisku wicedyrektora Ośrodka Kultury Bułgarskiej w Warszawie. (Red.).

Dora Gabe

Marzyciele

Rodziliśmy się w epoce marzenia,
wyrośliśmy w płomieniach
pragnień gorejących,
a twarze nasze oblewała
by nas ochłodzić
światłość miesiąca.

I nic nie rozumieliśmy dlaczego
serca się nasze biją
o ciasne klatki piersi,
dlaczego bolą na ramionach naszych
te miejsca, gdzie powinny były
wyrosnąć skrzydła ptasie,
dlaczego oczy nasze
nie mają siły
aby dosięgnąć tego szczęścia,
cośmy je łatwo przepuścili,
i czemu nie odpoczną ani chwili!

A były oczy, takie oczy,
co umierały szeroko otwarte
za żywe życie —
w przedśmiertnym ich wołaniu
płonęło słowo „naród" —
ci szczęście pochwycili.

Dziś przybywamy tu do ciebie,
o Współczesności przebogata,
z otworzonymi szeroko oczami,
ale z próżnymi dłońmi,
bośmy byli
marzycielami,
bośmy z naszych marzeń
tworzyli tylko pieśń
i dziś ci pieśni przynosimy.
Przyjmij je od nas jako dar
a nas —
nas jako biedne świerszcze
sobie weź..

Sław Chr. Karasławow

Zachód

Nad ziemią zachód legł pomarańczowy
i zarumienił trawy delikatne,
spokojnie, w ciszy, daleki wędrowiec
idzie pod słońca promienie ostatnie,
i rosną jego ramiona, gdy wschodzi
jeden ogromny cień nad świat kolorów.
Jakże jest piękna ziemia o zachodzie,
ledwie dotknięta pieszczotą wieczoru!

Maleńkie trawki są jak z wosku — gasną;
niby rój pszczeli błyszczą muszek roje,
a czarne ptaki pstrzą horyzont ciasny
i roztapiają się w cieniach spokoju.
I w koleiny dróg niejasnych co dzień
zbiera się ciemność przedwiecznej pory.
Jakże jest piękna ziemia o zachodzie,
ledwie dotknięta pieszczotą wieczoru!

Tłumaczył z bułgarskiego
Tadeusz Ross

Walizka

Stefan Zarębski

NARESZCIE, po pełnym niepewności oczekiwaniu, otrzymałem skierowanie na wczasy do Międzyzdrojów. W ostatniej chwili wystąpiły nieprzewidziane kłopoty, gdy okazało się, że właściwie nie mam walizki. Zupełnie zapomniałem — przecież niedawno pożyczyłem ją koledze. Był wieczór, do odjazdu pozostały zaledwie dwie godziny. Do kolegi nie mogłem się dodzwonić, późna pora przekreślała możliwość kupienia nowej walizki — musiałem więc sięgnąć do domowej graciarni po stary, całkiem zdezelowany rupieć, w którym trzymałem różne szpargały i który na miano walizki nie bardzo już zasługiwał. Wyklejone to było w środku ohydną ceratą, zamki miało zepsute, a na dobitek wieko „ozdobione" po zewnętrznej stronie wyskrobanym na brązowej powierzchni, co najmniej szokującym napisem: „Hier liegt der Hund begraben". Poniemiecki jakiś fant, gdzieś z Ziem Zachodnich przywleczony bezpośrednio po wojnie wraz z cennym ładunkiem ocalonych przed zniszczeniem książek. Napis wzbudzał dawniej ogólną wesołość, komentowany jako przykład nastrojów przedstawicieli Herrenvolku w dniach klęski, teraz jednakże bynajmniej nie skłaniał mnie do wesołości. Na szczęście znalazłem również zapasowy pokrowiec o właściwym wymiarze, zasłoniwszy więc nim bazgroły i drut, którego użycie było nieodzowne dla umocnienia zamków, mogłem chociaż zachować pozory, iż mój podróżny bagaż jest istotnie walizką. Solennie obiecałem sobie przywieźć z Międzyzdrojów nową. Najważniejsze jednak, że jakoś się spakowałem i nie straciłem szansy zdążenia na pociąg — a niewiele brakowało. „Hier liegt der Hund begraben" — pomyślałem już z rozbawieniem, wychodząc z domu.

Znalazłszy się na dworcu z całą satysfakcją uświadomiłem sobie, że wkrótce zostawię daleko hałas i spiekotę miasta. Zająłem miejsce w przedziale, udało mi się nawet usiąść przy oknie. Paląc papierosa obserwowałem ruch na peronie, ale w oczach miałem już nadmorską plażę.

— Czy jest jeszcze wolne miejsce? — wyrwał mnie ze stanu kontemplacji męski głos.

W drzwiach przedziału stał mężczyzna w średnim wieku, z walizką w ręku — podobną nawet do mojej, bo... też w pokrowcu.

— Proszę — podsunąłem się bliżej okna wskazując skrawek ławki między mną a młodą parą małżeńską.

Po chwili toczyliśmy rozmowę, z której niebawem wynikło, że nowy współpasażer również udaje się na wczasy i to właśnie do Międzyzdrojów.

— Do którego pensjonatu? — zapytałem z ożywieniem.

— „Latarnia Morska". A pan?

— „Latarnia Morska"! — powtórzyłem z uśmiechem, rozmówca bowiem sprawiał sympatyczne wrażenie i przyjemna wydała się perspektywa wspólnego spędzenia wczasów. I on się ucieszył. Wkrótce potem doszliśmy do wniosku, że najlepiej byłoby zamieszkać w jednym pokoju. Podróż, urozmaicona pogawędkami, zeszła szybko. Wychodząc na zalany słońcem peron w Międzyzdrojach byliśmy już niemal na przyjacielskiej stopie.

Rzeczywiście zamieszkaliśmy we wspólnym pokoju i to nawet chyba najpiękniejszym w pensjonacie — z balkonem, z widokiem na morze. Wczasy upływały w doskonałej atmosferze. Spędzaliśmy dni na kąpielach i plażowaniu, a w razie gorszej pogody na dalekich spacerach wzdłuż brzegu.

Kiedyś podczas takiego spaceru, pan Jerzy — który lubił i umiał opowiadać, jak przystało na nauczyciela polonistę (był nim właśnie) — podjął temat swoich okupacyjnych perypetii. Z początku nie zapowiadało się to zbyt ciekawie i słuchałem jednym uchem.

— W roku 1941 mieszkałem w okolicach Lwowa — zaczął, częstując mnie papierosem. — Byłem jeszcze kawalerem i pracowałem w warsztacie samochodowym. Jakoś się żyło. Ale wkrótce działania wojenne zmusiły mnie do opuszczenia tamtych stron. Pojechałem do swej siostry, która mieszkała z mężem i dziećmi w Żyrardowie. Przez pewien czas pozostawałem na gościnnym garnuszku, jednak trzeba było się w końcu rozejrzeć na źródłem utrzymania. Siostra zaproponowała, żebym spróbował pohandlować. I tak się zaczęło. Woziłem tanie, „nie do zdarcia" koturny damskie na drewnianej zelówce po jedyne 50 złotych za parę, szmuglowałem tytoń, mięso... Ale nie bardzo mi szło i w gruncie rzeczy niewiele z tego miałem.

— Co, trudności ze zbytem? — zacząłem się już trochę interesować, przypomniawszy sobie kuzyna, który podczas okupacji uprawiał podobny proceder.

— Nie, skądże... nabywców znalazłbym łatwo. Każdy towar szedł, a jeszcze taki... Miałem po prostu pecha, chociaż jednocześnie i sporo szczęścia.

— Aaa, wpadki... Rozumiem.

Pan Jerzy był wyraźnie zachęcony do kontynuowania opowieści.

— Jedna za drugą... To żandarmi, to granatowi! Jakoś wychodziłem z opałów cało, ale towar nieraz diabli wzięli. Nosiłem się już z zamiarem zrezygnowania z całego interesu, bo na twarzach najbliższego otoczenia, oprócz współczucia, zaczynałem dostrzegać cień politowania. Postanowiłem dokonać jeszcze jednej tylko próby, ostatniej. Dla odmiany wziąłem boczek i słoninę. Walizka ciążyła mi tym bardziej, że zawierała tak niebezpieczną kontrabandę. Dojeżdżaliśmy do Włoch, wie pan, dwie stacje przed Warszawą, kiedy nagle w wagonie, w którym jechało oprócz mnie kilkadziesiąt osób z różnymi tobołkami i paczkami, powstało zamieszanie. Po chwili przedział mój zupełnie opustoszał. Wyjrzałem oknem, ale nie stwierdziwszy niczego podejrzanego z powrotem usiadłem na ławce. Pociąg ruszył. Jeszcze nie zdążył dobrze zahamować na Zachodnim, gdy przyskoczyła grupa żandarmów z bronią, w asyście granatowych, krzycząc: „Raus, schnell!" Pomyślałem sobie: no, tym razem to już koniec... Z walizką słoniny, przy najlepszej nawet kenkarcie, nic by nie pomogło. Zrezygnowany stałem wśród innych, z rękami wzniesionymi do góry, i czułem jak mimo chłodnego dnia pot mi spływa kroplami po krzyżu. I wtedy stał się chyba cud. Żandarmi, zajęci jakimś zatrzymanym Żydem, odeszli na drugi koniec peronu, a do naszej grupki podbiegł „granatowy", z dużym czerwonym nosem, i zapytał: „Kto ma wódkę, słoninę?". Złapałem swoją walizkę i wcisnąłem mu w łapy. Przyjął bez wahania, wyciągnął z niej całą zawartość i oddając mi pustą — syknął: „Zwiewaj, ale prędko". Jeszcze chyba nigdy w życiu tak szybko nie biegłem... nogi same mnie niosły...

— W czepku się pan urodził — uznałem za stosowne zauważyć, bo myślałem, że już koniec opowieści.

— Niech pan słucha dalej — wpadł mi w słowa. — W pewnej chwili znalazłem się na jakimś podwórzu. Postawiłem walizkę i usiadłem na niej zupełnie zgnębiony. Bez towaru, bez pieniędzy — co czynić? Wtem wyskoczył skądś pies, ohydny, chudy kundel — złapał zębami za walizkę, a potem mnie za nogę. Widocznie był głodny, a musiał poczuć zapach słoniny. Rozdarł mi spodnie. Broniąc się kopnąłem go, ale tak pechowo, że trafiłem w najczulszy punkt nosa. Ku memu przerażeniu, padł martwy na ziemię. Porwałem walizkę i zacząłem szybkim krokiem iść w kierunku bramy — tym razem jednak nie dane mi było uciec... W bramie stała gruba dozorczyni, zatarasowała mi sobą wyjście i zagadała: „Wszystko widziałam, to pies tej spod piątego, zabierz go se pan, bo narobię krzyku". Co miałem począć? Wróciłem, wziąłem kundla, wsadziłem do walizki i poczłapałem apatycznie na ulicę. Zmierzchało. Doszedłem do dworca, za resztkę pieniędzy kupiłem bilet. Peron był pusty. Siedząc na ławce patrzyłem na postawioną obok walizkę i z obrzydzeniem myślałem o zdechłym psie w jej wnętrzu. Sam czułem się jak zdechły pies... „Achtung, achtung, Schnellzug nach Berlin" — zapowiedziano przez megafon i wkrótce potem z hukiem wjechał pociąg, a na peron wkroczyli tragarze niosący i wiozący na wózkach sterty walizek. Stawiali je dokoła mej ławki. Chciałem wstać i odejść, ale po prostu nie mogłem, byłem zupełnie zablokowany. Z budynku dworcowego wyszła gromada oficerów, głośno rozmawiając i śmiejąc się zaczęli zajmować miejsca w wagonach. „Urlopowicze" — pomyślałem obojętnie. Bagażowi wnosili za nimi walizy, z lokomotywy szły kłęby pary. Wkrótce pociąg ruszył, peron znów opustoszał. Dalej siedziałem na ławce, obok stała walizka. Po kwadransie zajechał i mój pociąg. Kiedy późnym wieczorem znalazłem się w domu, siostra zapytała: „Jak poszło?" Machnąłem ręką, powiedziałem, że jestem bardzo zmęczony i nie będę jadł kolacji. Usypiając przypomniałem sobie o psie. „Mario — wymamrotałem — w walizce jest zdechły pies, weź, wyrzuć go, jutro ci wszystko opowiem". „Co...?" Szamotała się z zamkiem, potem słyszę: „Jerzy, chodź no, nie mogę otworzyć". Jak to? — zastanowiło mnie — przecież zamki popsute, zwykle wystarczyło dotknąć... Zaintrygowany, wstałem. Rzeczywiście — zamki ani drgnęły. Otworzyliśmy walizkę przy pomocy gwoździa i oczom naszym przedstawił się zdumiewający widok: była wypełniona po brzegi koronkami, jedwabiem, francuskimi pończochami, złotą biżuterią w pudełkach, a na samym wierzchu leżała gruba złota papierośnica. Dopiero po pewnym czasie, kiedy oprzytomniałem z wrażenia, zrozumiałem wszystko — i na myśl o moim piesku, podróżującym do Berlina, wesołość mnie ogarnęła niepohamowana. Za te skarby żyliśmy z całą rodziną do końca wojny.

Ostatnich słów opowiadania słuchałem już z roztargnieniem, olśniony nagłą myślą.

— „Hier liegt der Hund begraben" — wymówiłem powoli.

— Właśnie — roześmiał się. — I co pan na to?

— To ta walizka, z którą pan przyjechał? — zapytałem.

— Zgadł pan. Nie rozstaję się z nią od tamtej pory, choć zniszczona. Fartowna walizeczka...

— A tamtą to pan chyba wyklejał ceratą — indagowałem dalej — no bo słonina...

Znowu się zaśmiał:

— Myślałem, że pan powie: no bo pies... Widzę, że zna się pan na rzeczy. Jasne, wykleiłem...

Nic nie powiedziałem, ale pan Jerzy był zaintrygowany moją miną.

Gdy wróciliśmy do pokoju, wyciągnąłem spod łóżka swego „rupiecia", wysypując całą jego zawartość na pościel.

— Ta sama? — spytałem triumfująco.

Tamten ze zdumieniem obserwował mnie i walizkę. Dłuższą chwilę trwało milczenie.

— Nie... — powiedział z wolna. — Moja była czarna...

— Człowieku... przyjrzyj się dobrze! — krzyknąłem, w pasji niemal.

— Czarna — powtórzył i uważnie spojrzał mi w oczy...

Lubelski wrzesień 1939 roku *)

Wojciech Białasiewicz

LITERATURA okresu kampanii wrześniowej 1939 roku stanowi bardzo poważny rozdział w bibliografii pozycji przedstawiających walkę narodowo-wyzwoleńczą narodu polskiego w okresie II wojny światowej. Większość prac dotyczących kampanii wrześniowej traktuje jednak wydarzenia wojenne 1939 r. na Lubelszczyźnie zbyt marginesowo, bądź pomija je niemal zupełnie.

Prace płk. Antoniego Sikorskiego i płk. Ludwika Głowackiego wypełniają w naszym piśmiennictwie historyczno-wojskowym tę dotkliwą lukę i stąd ich szczególne znaczenie. Stanowią one jednocześnie podstawowe pozycje, będące obecnie punktem wyjściowym do dalszego, monograficznego opracowywania dziejów Lubelszczyzny w okresie kampanii 1939 r. Istnieją plany przygotowywania II wydania tych książek, dlatego też wydaje się celowe życzliwe uwypuklenie spostrzeżeń, które powstały w trakcie lektury tych cennych pozycji.

Kilka uwag nasuwa słowo wstępne napisane przez Z. J. Hirsza. Wydaje się, że przy tego typu pracach traktujących o wydarzeniach na terenie ściśle określonym, a więc lokalnym, należałoby w słowie wstępnym, nie rezygnując z elementów natury ogólniejszej, wiązać je w sposób bardzo wyraźny z zagadnieniami dotyczącymi przede wszystkim tego terenu.

Takich informacji w słowie wstępnym Z. J. Hirsza, niestety, nie można się doszukać, z wyjątkiem ustępu poświęconego samemu Lublinowi. Czytelnik dowiaduje się więc o dysproporcji pomiędzy siłami niemieckimi a polskimi we wrześniu 1939 r. (co stanowi zagadnienie już obecnie znane doskonale szerszemu ogółowi społeczeństwa), o olbrzymich stratach w ludziach oraz o zniszczeniach materialnych poniesionych przez narody w ciągu sześciu lat II wojny światowej itp.

Natomiast ani jednym słowem nie zostały skwitowane tak ważne zagadnienia, jak np. geneza oraz znaczenie walk prowadzonych w kampanii 1939 r. na Lubelszczyźnie w odniesieniu do ruchu oporu na tym terenie.

Kapitulujące polskie dywizje nasyciły cały teren bronią, która z reguły była ukrywana i już w niedługim czasie zasiliła szeregi konspiracyjne. Lubelszczyzna zapełnia się także dużą liczbą oficerów, podoficerów i żołnierzy, którzy nie chcieli iść do niewoli, a nie zawsze mieli czy mogli gdzie wracać. Oni to właśnie znaleźli się w grupie prekursorów ruchu oporu.

Tak więc genezę ruchu oporu na Lubelszczyźnie należy łączyć z walkami, które zostały tu stoczone w okresie kampanii wrześniowej. Powyższy problem został zresztą nie dostrzeżony także, a jeśli dostrzeżony to w sposób marginesowy, przez autorów obu prac.

Pewne zastrzeżenia budzi tu sama konstrukcja obu prac pomyślanych jako całość. Uzasadnianie zachowania odrębności prac płk. A. Sikorskiego i płk. L. Głowackiego (poruszających przecież w przeważającej części identyczne wydarzenia oraz problemy) argumentem, że pierwsza z nich przeznaczona jest dla czytelnika, przeciętnego, druga zaś dla czytelnika obznajmionego ze sztuką wojenną — jak to czyni w słowie wstępnym Z. J. Hirsz — po prostu nie przekonywa. Obie książki przedstawiają bowiem te same fakty, bez żadnych niemal rozbieżności, a jednak w innych zupełnie ujęciach. I właśnie dlatego byłoby sensowniej utworzyć z nich całość organicznie ze sobą powiązaną, która połączyłaby walory poszczególnych książek na zasadzie wspólnego autorstwa.

Książka płk. Sikorskiego, w której działania natury wojskowej z przyczyn oczywistych przeważają, porusza jednak szereg bardzo istotnych problemów takich jak charakterystyka geograficzna oraz ekonomiczna na rzecz wojska, zagadnienia związane z wojskową służbą sanitarną itp. Na podkreślenie zasługuje także fakt, że „Zarys ogólny" posiada większe walory w przedstawianiu realiów września 1939 r.

Praca płk. Głowackiego stanowi niezwykle cenną, niemal klasyczną monografię faktograficzną, dostarczającą wielu nie znanych dotychczas informacji oraz szczegółów związanych z działaniami wojennymi na Lubelszczyźnie. Odnosi się jednak wrażenie, że w przedstawieniu ustawicznych przemarszów, dyslokacji, potyczek i bitew, w powodzi kryptonimów i numeracji poszczególnych jednostek, a przy tym w ujęciu bezna-miętnym, bardzo rzeczowym, autor zagubił te wszystkie elementy, które pozornie nie znaczące, ukryte pod żołnierskimi mundurami, stanowią o istocie tych walk. Nie oznacza to wcale, aby autor nie zauważył i nie oddał hołdu bohaterstwu walczącego żołnierza. Oczywiście, należy uszanować intencje autora, który postawił sobie za cel możliwie najwierniejsze odtworzenie wydarzeń wojennych mających miejsce w 1939 r. na Lubelszczyźnie, i co należy szczególnie podkreślić, wywiązał się z tej pracy nadzwyczaj rzetelnie.

Reasumując wydaje się, że umiejętne połączenie momentów natury opisowej ze ścisłą faktografią przyniosłoby efekt o wiele bardziej pożądany z punktu widzenia percepcji obu pozycji.

Nasuwa się także uwaga, że praca ppłk. Głowackiego, zawiera niewystarczający w odniesieniu do tekstu aparat naukowy w sensie przypisów, aczkolwiek należy pamiętać jednocześnie o tym, że obie książki nie stanowią sensu stricto rozpraw naukowych, a więc mogłoby się wydawać, że są uwolnione od zbyt obszernego bagażu, jakim są przypisy. Odnosi się wrażenie w trakcie lektury, że w wielu wypadkach odpowiednie fragmenty książek mogłyby się faktycznie obyć bez przypisów, tym bardziej, że pochodzenia szeregu istotnych informacji nie można się doszukać.

Odnosi się wrażenie, że w książce płk. Sikorskiego, jak zresztą również i płk. Głowackiego, nie została przedstawiona prawidłowo nadzwyczaj ofiarna oraz prowadzona w absolutnie nienormalnych warunkach praca wojskowej służby zdrowia. Wynika to na pewno z bardzo skąpej ilości materiałów traktujących o tych problemach.

Pisząc o braku szpitali przyfrontowych płk Sikorski zaznacza, że oddziały były zmuszone oddawać rannych m. in. pod opiekę władz duchownych i jako przykład podaje klasztor w Krasnobrodzie (str. 69). A dalej, wspominając rannych zwożonych do Krasnobrodu i lokowanych na korytarzach klasztornych stwierdza, że w wypadku odwrotu los tych ludzi był przesądzony (str. 73).

Powyższe sformułowania nie są zgodne ze stanem faktycznym. Należy zakwestionować pojęcie „szpitale przyfrontowe" użyte przez płk. Sikorskiego. Tego typu szpitali przy tego typu działaniach, jakie były prowadzone na terenie lubelskim, z przyczyn oczywistych być nie mogło, bo nie było frontu w pełnym tego słowa znaczeniu, albo — jak kto woli — front był wszędzie.

Właściwsze byłoby określać je poprostu terminem szpitali polowych, a tych znowu, wliczając w ich poczet jednostki pomocnicze, nie było tak mało. Tylko w trójkącie Zamość — Tomaszów — Biłgoraj około 23 września 1939 r., a należy liczyć, że i tydzień wcześniej, umiejscowione były następujące formacje sanitarne: szpitale polowe 502, 503, 561, kompanie sanitarne 503, 561 i 31, resztki kompanii sanitarnej 231 z brygady pancernej płk. Roweckiego, czołówka chirurgiczna nr 13. Wszystkie te formacje sanitarne z dniem 23 września 1939 r. utraciły swoją samodzielność organizacyjną i na mocy specjalnego rozkazu weszły w skład Centrum Szpitali Wojskowych „Zamość". O funkcjonowaniu szpitali wojskowych na terenie Zamojszczyzny w kampanii 1939 r. napisał w swoich wspomnieniach, opublikowanych w „Archiwum Historii Medycyny" z. z 1957 dr Stanisław Sokół. Jest to doskonała, jedyna w swoim rodzaju pozycja przedstawiająca w sposób rzeczowy warunki pracy oraz pracę polskiej służby sanitarnej w okresie kampanii 1939 r. Szkoda, że z jej treścią nie zapoznali się obaj autorzy.

Właśnie w Krasnobrodzie rozlokowany był szpital polowy nr 502 pod dowództwem mjr. dr. Stanisława Augustyna. W pomieszczeniach klasztornych, w fatalnych warunkach, przy świetle kościelnych świec, lekarze oraz personel pomocniczy pełnili ofiarną służbę i wytrwali na swoich stanowiskach do dnia 23 września 1939 r., tj. do chwili, kiedy ostatni ranni opuścili klasztor i zostali przewiezieni do Zamościa.

Zupełnie nie wiadomo, jaki związek przyczynowy z tekstem pracy ma przypis podany przez płk. Sikorskiego na str. 37. Pisząc o decyzjach podjętych przez gen. Szyllinga i gen. Piskora w dniu 19 września 1939 r., które w razie niepowodzenia ostatniej próby przebicia się oddziałów na kierunku Tomaszowa Lubelskiego zwalniały wszystkich oficerów od ich obowiązków, płk Sikorski powołuje się na pracę Montgomerego, która ani jednym słowem nie dotyczy tej problematyki. Podane przez płk. Sikorskiego numery stron w/w książki, owszem, dotyczą kapitulacji, tak nawet zatytułowany jest ten rodział, ale Niemiec w roku 1945!

Opisując niefortunne natarcie kombinowanej brygady kawalerii płk. Zakrzewskiego w rejonie Jacni w dniu 23 września 1939 r., płk Sikorski pisze: „...płk Zakrzewski dał rozkaz do ogólnego odwrotu. Oparł się temu dowódca 2 dywizjonu artylerii konnej ppłk. Kamiński utrzymując, że ani on ze swoimi bateriami, ani kawaleria, nie może dokonać tego wycofania bez ciężkich strat. W rezultacie oddziały pozostały do wieczora na zajętych pozycjach". (str. 146).

Natomiast płk. Zakrzewski w swoich wspomnieniach pisze: „dowódca 2 dak, dzielny ppłk. Kamiński, proponuje utrzymać się na zajmowanej pozycji do zmroku (kto wie, czy nie miał racji), lecz ja propozycji nie przyjmuję. Wydaję rozkaz płk. Komorowskiemu wycofania się na Brotki". (str. 222).

Podając informację o działaniach 13 bryg. piechoty płk Głowacki pisze, że brygada formowana była w Dorohusku oraz, że w skład jej wchodziło zgrupowanie piechoty płk. Mariana Ocetkiewicza. Faktycznie brygada formowana była w rejonie Chełma, a w dniu 18 IX 1939 r. zluzowała w rejonie Dorohuska oddział płk. S. Kunsdlera, otrzymując zadanie obrony linii Bugu. Zgrupowanie płk. Ocetkiewicza nie wchodziło w skład 13 bryg. piechoty, a wręcz odwrotnie przez krótki okres oddziały 13 bryg. piechoty podporządkowane były płk. M. Ocetkiewiczowi.

Sformułowanie, że uderzenie czołgów na wieś Zimno wyrzuciło do Tyszowiec sztab 13 bryg. piechoty, który przez to utracił łączność ze swymi pułkami, nie jest zgodne z rzeczywistością. 13 brygada nie została użyta jako zwarta jednostka, lecz została rozdysponowana rozkazami gen. Wołkowickiego. Dowódca brygady, płk. Korkozowicz, pozostał faktycznie tylko ze sztabem i odjechał w rejon Wożuczyna, gdzie poinformowany został o decyzji gen. Dąb-Biernackiego rozwiązania armii.

Szereg absolutnie błędnych informacji podaje A. Sikorski. Nieprawdą jest, że około 17 IX 1939 r. dywizja gen. Wołkowickiego zbierała się w rejonie Rachanie — Pawłówka, nieprawdą jest, jakoby 13 bryg. piechoty i 13 bryg. piechoty siedziały w tym terenie od 10 dni, jak również nieprawdą jest, że jednostki te były dobrze zaopatrzone. Nie był to także wynik zapór policyjnych działających w tych rejonach, a więc w rejonie Tomaszowa, od dnia 9 IX 1939 r. — jak podaje A. Sikorski — ponieważ w tym rejonie, kontrolowanym przez zmotoryzowane oddziały niemieckie, zapór policyjnych nie było.

Pewne nieścisłości zawarte są w relacji o wypadzie przeprowadzonym na Zamość. Wypad na Zamość przeprowadzony został w nocy z 18/19 IX i nie uderzyła na miasto 29 brygada piechoty płk. Bratro, lecz tylko 2 rez. pp i baon 1 rez. pp ze składu tej brygady.

Natomiast płk. Sikorski popełnia błąd, który przecież nie jest uwidoczniony w pracy płk. Głowackiego, podając (str. 127), że 29 brygada piechoty płk. Bratro weszła w skład grupy wższego rzędu, która była dowodzona przez gen. Wołkowickiego. 29 rezerwowa brygada piechoty wchodziła w skład G. O. gen. Kruszewskiego i współdziałała z 39 rez. dp. gen. Bruno Olbrychta.

Nie odpowiada prawdzie sformułowanie płk. Sikorskiego, w myśl którego grupa operacyjna gen. Kruszewskiego, tocząc walkę o Krasnystaw w dniu 19 września 1939 r., odrzuciła nieprzyjaciela w stronę Zamościa, otwierając w ten sposób drogę odwrotu dla G. O. gen. Andersa (str. 141). Na miasto Krasnystaw uderzały oddziały 29 dywizji piechoty, stanowiące straż przednią grupy gen. Kruszewskiego. Pierwsze natarcie przeprowadzone przez trzeci baon 9 pp. załamało się z dużymi stratami pod wpływem przeciwuderzenia oddziałów niemieckiej 4 dp., które wyszło zza Wieprza. Na skutek zmiany rozkazów przez gen. Dąb-Biernackiego natarcie na Krasnystaw zostało przerwane, a oddziały otrzymały rozkaz stworzenia osłony od strony miasta.

Tak więc nieprzyjaciel nie tylko nie został odrzucony w stronę Zamościa, ale nadal przejawiał aktywność przeprowadzając lokalne natarcia, które powstrzymywała 29 dp.

Oczywiście powyższe uwagi nie wyczerpują całokształtu zagadnień związanych z kampanią wrześniową 1939 r. na Lubelszczyźnie. Istnieje olbrzymi wachlarz problemów, z takich czy innych przyczyn nie poruszonych przez obu autorów, że wymienię przykładowo samoobronę miejscowego społeczeństwa, jego martyrologię w okresie kampanii, wkroczenie na tereny południowo-wschodniej Lubelszczyzny oddziałów Armii Czerwonej wraz ze wszelkimi konsekwencjami wynikającymi z tego wydarzenia, zagadnienie mniejszości narodowych itp.

Autorzy konsekwentnie zrealizowali koncepcje odtworzenia wydarzeń mających ścisły związek z działaniami natury wojskowej, pomijając szereg problemów natury politycznej, a przez to odtworzyli obraz niepełny, ale świadomie niepełny, w sensie historycznym.

Należy przypuszczać, że szereg danych zawartych w obu pracach zostanie jeszcze skorygowanych w imię prawidłowo pojętej troski o wierne odtworzenie wrześniowych dni 1939 r.

Nie sposób także wymienić na tym miejscu wszystkich walorów, jakie posiadają obie prace. Książki płk. A. Sikorskiego i płk. L. Głowackiego są i pozostaną cennym nabytkiem w naszym piśmiennictwie historyczno - wojskowym w ogóle, a w piśmiennictwie traktującym o kampanii wrześniowej 1939 r. w szczególności.

*) Uwagi na marginesie książki płk. Antoniego Sikorskiego — Kampania wrześniowa na Lubelszczyźnie. Zarys ogólny. Lublin 1966 oraz książki płk. Ludwika Głowackiego — Kampania wrześniowa na Lubelszczyźnie. Działania wojenne. Lublin 1966.

Wasz znak: Kl. II

Otrzymaliśmy list następującej treści:

Redakcja „Kameny"
Lublin
Narutowicza 35

Nasz znak: Kl. II.-16/49/71
data: 19 sierpnia 1971 r.

Wydział Kultury Prezydium WRN w Lublinie przesyła według właściwości pismo Nr. Rz. — 165/71 z dnia 5.07. 1971 r. ob. Jana Sity z prośbą o rozpatrzenie jego skargi.

Z-ca Kierownika Wydziału
(mgr Zygmunt Kosek)

Do wiadomości:

Ob. Jan Sito

A oto treść **skargi** (Nr Rz-165/71) ob. Jana Sity (dopełniacz — kogo, czego: **Sity** — panie magistrze):

Do Wojewódzkiego
Wydziału Kultury i Oświaty
w Lublinie
Lublin
Prezydium
Wojewódzkiej Rady Narodowej
w Lublinie

Zwracam się do Was w sprawie nadesłanych listów po publikacji mojego listu w — Kamenie — co prawda bez podania adresu i nazwiska. Nie nadesłałem Różanych Kwiatów do — Kameny — ze względu na to iż to czasopismo mimo posiadania szeregu wierszy nie publikuje ich w Kamenie. Chcę się dowiedzieć dlaczego. Tak nie wolno postępować. Nie zezwalam — Kamenie — na trzymanie mej twórczości literackiej w szufladzie, ani na handel nią, bez mojej zgody. Zgłosiłem chęć wydania tych wierszy, przeznaczając część na odbudowę zamku w Lublinie lub wyposażenie Domu Kultury na Lubelszczyźnie. Proszę spowodować druk wymienionych wierszy oraz wydanie w wydaniu książkowym zgodnie z opisem. Publikacje tylko z podaniem pełnego adresu mojego i nazwiska.

(pieczątka)
Mistrz Ślusarstwa Samochodowego
Jan Sito
Ząbkowice Śląskie
ul. Gen. Świerczewskiego 4/1a
woj. wrocławskie
(podpis nieczytelny)

5.07.1971 r.

Ob. Jan Sito wspomina o publikacji jego listu w „Kamenie". Ów list wydrukowaliśmy w n-rze 12 (471) z dnia 6.VI. 1971 r. Mgr Zygmunt Kosek zapewne nie zapoznał się z jego treścią. Cytujemy więc:

Zgłosiłem szereg wierszy do druku do czasopisma „Kamena". Bardzo proszę o spowodowanie ich druku w tym czasopiśmie. Jednocześnie zgłaszam chęć zapoznania mieszkańców Lublina i okolic ze swoją twórczością literacką. Będę miał dwa, ewentualnie trzy tomiki poezji oraz jedną powieść. Zapoznanie nastąpi we wrześniu 1971 roku zgodnie z wyznaczonymi terminami przez Wydział Oświaty w Lublinie Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Mistrz ślusarstwa samochodowego
Ząbkowice Śląskie
(Nazwisko znane redakcji)

P.S. Wysyłam do Wydawnictwa tomik o nazwie „Różane Kwiaty" do druku. Proszę spowodować druk.

Od redakcji dodaliśmy: **„Adresatem tego listu był Wydział Oświaty w Lublinie Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, więc przesyłka dotarła do Kuratorium Okręgu Szkolnego Lubelskiego, które skierowało ją do redakcji — bez listu przewodniego".**

Kolejna skarga ob. Jana Sity trafiła do Wydziału Kultury Prez. WRN w Lublinie. Otrzymaliśmy ją wraz z cytowanym na wstępie listem przewodnim, a na samym liście ob. Sity znaleźliśmy następującą adnotację: **„II Proszę załatwić zgodnie z KPA** (podpis nieczytelny) **19.VII.71 r.".** Można się domyślać, że kierownik Wydziału przekazał skargę swemu zastępcy, ten zaś z kolei nadesłał ją do naszej redakcji. Nie wydaje nam się aby adresat („Kamena") — zgodnie z ostatnimi wytycznymi był właściwy. Skarga ob. Sity powinna zostać skierowana do naszej jednostki nadrzędnej: Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego RSW PRASA.

Pozostawmy jednak na boku problem adresata. W naszej dyspozycji znajduje się kilka listów ob. Jana Sity i kilka jego „wierszy". Zacznijmy od listu z datą 11 czerwca 1971 r.:

W związku z odpowiedzią na mój list przedrukowany w „Kamenie" z dnia 6.06.1971 roku zwracam się powtórnie do „Kameny" z przypomnieniem o jej zadaniach, w ramach rozpowszechniania kultury, a więc drukowania nadesłanych wierszy. Są bardzo naturalne oraz wyjątkowe, jeśli już jest stopień porównań. Wspomniany tomik wierszy „Różane Kwiaty" nadeślę wraz z tomikiem poezji „Posmak bursztynu" pisany obecnie na Wybrzeżu, o ludziach Wybrzeża oraz samym Wybrzeżu. Jestem przeciwny drukowaniu czegokolwiek bez podania nazwiska. Zwracam się o wydrukowanie w „Kamenie" wierszy „Polen" (albo „Polesz" — nie możemy odczytać — przyp. MAJ) oraz „Trismus", „Warszawskie Łazienki", „Warszawski Gutkin" oraz najlepszy wiersz „Krakowskie Przedmieście" z tego tomiku. Jestem mistrzem ślusarstwa samochodowego oraz literatem piszącym współcześnie. Proszę wydać wiersze w jednym tomiku mieszczącym tomik „Retrospekcje Warszawskie" oraz wiersze, które zostały do Was nadesłane. Tomik winien nosić tytuł „Z rannym świtem" i składać się z drukowanych wierszy nadesłanych do Was do redakcji, oraz wierszy zebranych w tomiku „Retrospekcje Warszawskie". 19 proc. za wydanie tego tomiku przeznaczam na odbudowę Zamku w Lublinie oraz jego wyposażenie. (Korekta: nie poprawiać! — przyp. MAJ). Format wydania A-5. Oprawa w płótnie. Litery tłoczone. Strona tytułowa napisy tłoczone:

Jan Sito
Z rannym świtem

oraz tłoczony napis wydawnictwa. Ilość egzemplarzy 100 000 sztuk. Cena jednego tomiku zawierającego wszystkie wiersze nadesłane luzem pojedyńczo pod tytułem „Z rannym świtem" oraz wiersze zebrane w tomiku „Retrospekcje Warszawskie" trzydzieści dwa złote (32 zł).

Łączę pozdrowienia
Mistrz Jan Sito
Ząbkowice Śląskie
ul. Gen Świerczewskiego 4/1a

Jeszcze jeden list otrzymaliśmy również bez pisma pośredniego, z pieczątką „Prezydium WRN w Lublinie". Pieczątka informowała, że list wpłynął do Prezydium 19 czerwca 1971 roku. Cytujemy charakterystyczny fragment:

Reflektuję na zaliczkę a konto 20% z wydania „Z rannym świtem" w wysokości 100 000 zł.

Tyle dokumentów. A teraz czas na zaprezentowanie choć jednego z wierszy ob. Jana Sity:

MODLITWA PORANNA

Pokazało by się
jakieś dziewczę zgrabne,
pokazało by się
zza chaty wyłomy!
zza wyrębu lasu,
pokazało by się, pokazało by się,
jakieś dziewczę zgrabne,
jakieś, jakieś ŁADNE!
...CISZA ...CISZA ...znów dzwony!
. . . . . korony drzew,
. . . . z. . . . drzew korony,
prześwietlone i ciernistę,
przetarte i zetemane bibułą.
. . . . . a kiełkiste pszyste,
niby takie zwiędnie,
i . . . takie kartowate,
TAKIE ZWIĄZANE SIUŁA.

Konewki pełne płynów,
takie nadęte kufy,
pękate, mleko z serem,
specjalnością specjalne,
kapryśem uspokojone,
jak fala — grzywacz piaszcz,
przyobiecane komtą,
NA WIEKI WIEKÓW
WIECZYSTE!

Na tym można by rzecz zakończyć, chociaż casus ob. Jana Sity bynajmniej nie jest odosobniony. W każdym razie, ponieważ ob. Sito nie zezwala nam na trzymanie jego twórczości literackiej w szufladzie, składamy pozostałe utwory (z należytym szacunkiem!) do redakcyjnego kosza. Może jednak Wydział Kultury Prezydium WRN w Lublinie zechce je wydać własnym sumptem? Z naszej strony nie ma żadnych sprzeciwów.

A swoją drogą w pełni doceniamy inwencję twórczą zastępcy kierownika Wydziału Kultury Prez. WRN w Lublinie, który w sierpniu skierował do nas już dwa pisma. Na pierwsze odpowiedzieliśmy w poprzednim numerze „Kameny". Na drugie — odpowiadamy teraz.

W sumie to wszystko byłoby bardzo zabawne, gdyby nie było takie smutne. Ale w Lublinie, mieście cudów, nic nie powinno nas zadziwić.

Jak to mówią nasi wschodni sąsiedzi? *Aluzju poniał?*

MAJ

okolice sztuki

Chwasty przed pomnikiem

KILKA miesięcy temu solennie obiecywano opinii publicznej rychłe wznowienie, jeszcze w tym roku, prac budowlano-instalacyjnych w północnym skrzydle zamku lubelskiego. Miało to nastąpić zaraz po wyprowadzeniu się Wojewódzkiego Domu Kultury z sąsiednich pomieszczeń. WDK pracuje już w innym budynku, w centrum miasta, a wspomniane obietnice pozostały w sferze obietnic. Podobno przedsiębiorstwo budowlane, które rozpoczęło roboty, umyło ręce od całej sprawy, argumentując, rzecz jasna, obiektywnymi racjami, a jego spadkobierca, wskazując na braki w dokumentacji obiektu, również omija zamek. Ubiegłoroczna decyzja rządu o wstrzymaniu inwestycji kulturalnych, które nie będą zrealizowane w 1971 roku, definitywnie zamroziła budowę, dość już zresztą poważnie zaawansowaną.

Tymczasem wiadomo, że bez kompleksowego rozwiązania problemów budowlano-konserwatorskich całego wzgórza zamkowego, nie da się skutecznie zabezpieczyć kaplicy św. Trójcy z freskami mistrza Andrzeja. Władze wojewódzkie niejednokrotnie już deklarowały zrozumienie dla wartości zabytku, odpowiadając na interpelacje opinii publicznej Lublina i kraju, lecz w praktyce różnie z tym zrozumieniem bywało. Ostatnia historia z zamkowym skrzydłem potwierdza to akuratnie. Wprost wierzyć się nie chce, że organizacyjny mętlik raz jeszcze opóźnił zakończenie prac wokół kaplicy. Przypomnijmy, po raz dziesiąty, opinię wybitnych ekspertów konserwacji: kaplica, zamek, donżon i dziedziniec kryjący instalacje wodno-kanalizacyjne, do dziś dobrze nie zbadane, to integralna całość. Choroba jednej części zaraża drugą, uzdrawiająca kuracja samej kaplicy nie przyniesie oczekiwanych rezultatów bez postawienia na nogi całego organizmu.

Wstrzymanie prac na zamkowym skrzydle opóźnia również uzyskanie nowych i obszernych pomieszczeń przez Muzeum Okręgowe, pracujące dziś w doprawdy żałosnych warunkach. W jego zatłoczonych magazynach zgromadzono setki obrazów, grafik i rysunków, zakupionych w latach powojennych przede wszystkim przez Wydział Kultury Prezydium WRN. Pracownicy Muzeum twierdzą, że kolekcji tej nic nie zagraża w sensie materialnym, że warunki przechowywania są znośne. Być może, choć dochodzą mnie słuchy, że niektóre obrazy czas poważnie nadwerężył, czas, że tak powiem, magazynowy. Nic w tym jednak rzecz, bo Muzeum nie jest w stanie zapewnić właściwej opieki konserwatorskiej takiej masie, tak „uziemnionych" dzieł. Zresztą poważna ich część to nie dzieła, to landszafty i inne sceny „heroiczne" sknocone na przeróżne okazje i zakupione przez komisje sterowane na ogół wszystkim, lecz nie kryteriami wartości artystycznej. Ale w magazynach znajduje się również kilkadziesiąt przynajmniej płócien o stosunkowo wysokim poziomie, a przy tym przejrzyście ilustrujących wszystkie skomplikowane zmiany, jakie przechodziła plastyka lubelska w latach przed- i powojennych.

Tę cenną grupę trzeba wydobyć na światło sal ekspozycyjnych i takie właśnie zamiary, o ile coś się znów nie zmieniło w muzealnych planach, kreśli dyrekcja placówki. Kreśli i kreśli, aż w końcu nie ona, lecz niszczący czas przekreśli obrazy, o z nimi i zamysł cały. Bo plany planami, a rzeczywistość sobie, czyli znów w przyszłość przesuwa oddanie wspomnianego skrzydła.

Jeśli jednak Muzeum wejdzie w posiadanie nowych sal, prosiłbym o zwrócenie przez nie uwagi także na fotografię lubelską. Chodzi mi w pierwszym rzędzie o fotografię artystyczną, aczkolwiek pora już najwyższa, aby Oddział Historyczny Muzeum pomyślał o gromadzeniu fotografii dokumentacyjnej. Taką propozycję można skwitować wzruszeniem ramion i zwięzłym komentarzem na temat poczytalności autora. No bo jak to? Fotografia w muzeum, w szacownym przybytku sztuka tak pospolita, że właściwie nie sztuka! Dajmy jednak spokój, panie i panowie, z ustalaniem definicji i miejsca fotografii w kulturze współczesnej, to już zrobiła za nas rzeczywistość, największe i obrosłe tradycją muzea świata posiadają całkiem rozbudowane działy fotografii artystycznej. A kolekcja lubelska, gdyby taka powstała, nie zniknęłaby na pewno w konkurencji z galerią obrazów czy ekspozycją pisanek wielkanocnych naszego Muzeum. Prace Zugaja, Demidowskiego, Polakowskiego, Urbanowicza (duża strata, to jego ostatnie milczenie na polu fotografii artystycznej), Wróblewskiego, Dadosa, Urbana, Jałowińskiego i Magierskiego, nie tylko ich zresztą, dałyby zestaw wysokiej próby. Fotografie niektórych, tu wymienionych, artystów krążą od lat po największych wystawach międzynarodowych Europy i Ameryki (Zugaj), są nagradzane i wyróżniane. Moim zdaniem, powinny zająć odpowiednie miejsce w lubelskim Muzeum Okręgowym. Na pewno też i Edward Hartwig, rodak lubelski, jeszcze po wojnie udzielający się w pracach LTF-u, z chęcią przekazałby Muzeum ułamek swego dorobku, nie wymagający referencji niżej podpisanego.

Jeśli propozycja ta trafi do przekonania dyrekcji Muzeum, szczerze radziłbym konkretne działanie od zaraz: fotografie łatwiej się niszczą niż obrazy, łatwiej ulegają rozproszeniu, a los negatywów również niepewny... Za życzliwy gest ze strony dyrektora Ślusarskiego, pomnik mu gotów jestem ufundować — choćby fotograficzny, przy pomocy, oczywiście, lubelskich artystów fotografików.

IJK

z bocznej trybuny

Kup pan skrzydłowego!

NIE ma prostszej czynności, niż porzucenie pracy. Bierze się kartkę papieru i pisze do dyrektora, prezesa, przewodniczącego czy jak się tam zwie pisemko, zawiadamiające, że z dniem tym a tym rozwiązuję dotychczasową umowę o zatrudnieniu. Nie trzeba żadnych motywacji. Wystarczy zachowanie ustawowego terminu.

W gorszej sytuacji jest mój pracodawca, jeśli zechce się mnie pozbyć. Nie dość, że powinien wyjaśnić powody swego kroku, uzyskać zgodę związku zawodowego, to jeszcze nie może mi wręczać wymówienia w czasie choroby (kobietom — w okresie ciąży), nie może zwolnić jedynego żywiciela, nie może, jeśli pełnię taką czy inną funkcję w radzie zakładowej, nie może, jeśli zbliża się termin odejścia na emeryturę itd.

Zupełnie przeciwnie przedstawia się sprawa w sporcie. Klub, czy inna władza może w każdej chwili zawiesić zawodnika okresowo, a nawet zabronić mu startów dożywotnio, może też wylać go na zbitą twarz od zaraz. Natomiast zawodnik jest w sytuacji prawie człowieka zaślubionego z tym klubem. Bez zgody władz klubu nie może przejść do innej organizacji sportowej. Praktycznie zatem, dopóki jest w dobrej formie, powinien uważać się za więźnia klubu, zarząd musiałby bowiem mieć świrka, by zwalniać sportowca w dobrej formie. Zawodnik ma wprawdzie jedno wyjście: zawiadomić klub, że go opuszcza i nie pytać o zgodę, ale wtedy przez rok nie wolno mu nigdzie startować, zaś po roku absencji, nawet przy intensywnym treningu przez cały czas, trudno o wysoką formę.

Wielka awantura wybuchła ostatnio w Lublinie. Dwaj nasi czołowi koszykarze ogłosili zamiar przeniesienia się do innych miast. Jeden motywował koniecznością leczenia żony u specjalistów w innym ośrodku klinicznym, drugi czym innym, wszakże nikt w te brednie nie uwierzył. Chcą się przenieść — znaczy, tamtejsi działacze przekupili ich, po prostu skaperowali. Lubelski świat sportowy zabrzmiał oburzeniem. Na łamach prasy ukazały się opinie, iż żona jednego z koszykarzy może leczyć się z powodzeniem u specjalistów lubelskich, jeśli zaś idzie o drugiego, to w naszym mieście stworzono mu dostatecznie pomyślne warunki egzystencji i nie powinien myśleć o żadnych przeprowadzkach.

Nikt jakoś nie podniósł tego, że obywatel w Polsce ma prawo do wyboru lekarza, do wyboru miejsca zamieszkania (o ile ma mieszkanie, i o ile, oczywiście, nowy adres nie opiewa na Warszawę, w której obowiązują ograniczenia meldunkowe, zresztą, moim zdaniem, sprzeczne z Konstytucją), do zmiany miejsca pracy. Nikt bowiem nie uwierzył w tłumaczenia koszykarzy. Wszyscy są przekonani, że gdzie indziej posmarowali im lepiej, wobec tego oni wolą tam rzucać piłkę do kosza. A że tamte kluby smarując koszykarzy, nie posmarowały odpowiednio ich dotychczasowym macierzystym klubom, te nie widzą powodu na wyrażenie zgody. Trzeba bowiem państwu wiedzieć, iż przejścia zawodników do nowych klubów na ogół odbywają się bezboleśnie wówczas, gdy nabywca uiści odpowiednią kwotę wobec dotychczasowego opiekuna sportowca. Raz będzie to 10 tys. zł, innym razem 150 tys., w zależności od dyscypliny sportu, klasy i kasy. Oficjalnie jest to zwrot kosztów wyszkolenia tego zawodnika, dość dziwna pozycja w księgowości, jako że nikt nie żąda ani grosza za inżyniera opuszczającego jedną fabrykę dla drugiej, mimo że w tej pierwszej zaczynał karierę od skromnego stażysty, a doszedł do kierownika wydziału, czyli zapewne podwyższył swe kwalifikacje w większym stopniu, niż przez 5 lat na politechnice.

Formy sprzedaży zawodników z klubu do klubu znane i stosowane są powszechnie w zachodnioeuropejskich klubach zawodowych, których działalność ma — w równym przynajmniej stopniu ze sportowymi — cele finansowe. Z tym, że w świecie sportu zawodowego nie robi się tajemnic, ile wziął klub za swego zawodnika i ile ten zawodnik będzie dostawał w nowym klubie, czyli w nowym miejscu pracy. Kluby działają na ogół na zasadzie spółek akcyjnych, akcjonariusze muszą wiedzieć dokładnie, jak zarząd obraca ich forsą. Spraw nie ma więc co ukrywać, bo i tak nie dałoby się, jeśli zna je większe grono, zawsze informacje przeciekną na zewnątrz.

Inaczej jest u nas. Nikt nie chwali się, ile dostał za sprzedanego wyczynowca, nikt — za ile go kupił; tajemnicą są wysokości jego dawnych i nowych zarobków. Jakże jednak te sprawy wyjawiać, skoro na ogół są one nielegalne? W większości przypadków groziłyby kryminałem. Ponieważ jednak chodzi o sport, przymyka się oczy. Wiadomo przecież, że nikt za frajer nie będzie codziennie ganiać w kółko jak wiariat wokół jakiegoś głupiego trawnika — jak nazwał Dygat w „Disneylandzie" boisko. A płacić, oficjalnie, nie wolno. Płaci się więc nieoficjalnie.

Brak jednolitych stawek, taryfikatorów i umów stwarza okazję do nadużyć, zabagnia obraz moralny naszego sportu. Więcej niż sami zawodnicy, zarabiają pośrednicy. Kto jak kto, ale ci ostatni przynajmniej zrobią wszystko, żeby nadal proceder odbywał się w dotychczasowej formie.

RW

Listy do KAMENY

„Powściągajcie te ciągotki"

Szanowny Panie Redaktorze,

w rubryce „noty i notki" skarcono mnie za słowo „zawagonowani". Czy „Zaokrętowani" jest również „brzydactwem językowym"?

Język powinien być funkcjonalnym i korzystać z każdej możliwości zamiany kilku słów jednym. Rozumiem te kłopotki, gdy co numer smażyć notki. Powściągajcie te ciągotki.

Szczerze przyjazny
Melchior Wańkowicz

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

ponieważ „Kamena" była moją stałą i ulubioną lekturą w 10 i 11 klasie liceum (im. Jana Zamoyskiego w Lublinie) przeto znalezienie własnego nazwiska na jej łamach sprawiło mi przyjemność...

O znanym spektaklu „Spadanie" w krakowskim teatrze STU pisaliśmy w „itd" obszernie i wielokrotnie. Redaktor JOD ma wszakże żal, że o „Spadaniu" nie podaliśmy żadnych szczegółów. Ponieważ pisze o zdjęciu rozebranych dziewcząt — nie bardzo wiem, o jakie szczegóły mu chodzi. Mogę wszakże Pana zapewnić, iż z redaktorem JOD będę z przyjemnością uzgadniał od tej pory druk wszelkich ciekawiących go wiadomości.

Myślę, że zaciekawi go przede wszystkim garść szczegółów na temat Andrzeja Rozhina i Zbigniewa Cybulskiego. Pierwszy z nich był członkiem SPATiF (i aktorem-lalkarzem) w momencie zakładania studenckiego teatru „Gong 7.30" (dziś „Gong 2") w Lublinie. Drugi skończył Wydział Aktorski PWST w Krakowie i jako aktor Państwowego Teatru „Wybrzeże" założył w Gdańsku studencki teatrzyk „Bim-Bom". W cytowanym przez JOD fragmencie pisałem o Cybulskim, Rozhinie, Jasińskim i innych, że „pracując w zawodowych teatrach (...) nie mogli zrealizować swoich ambicji teatralnych (...) i dlatego skorzystali z pierwszej nadarzającej się okazji, żeby takie przedstawienie zacząć realizować poza granicami instytucji profesjonalnych". Ten właśnie cytat opatrzony został przez JOD komentarzem „Jak wiemy, było akurat odwrotnie, zaczynali od studenckich teatrów amatorskich". Dobrze przynajmniej że komentarz zaczyna się od zastrzeżenia „Jak wiemy...", widać bowiem, że de facto „nie wiemy". Zresztą Rozhin jest przecież z... Lublina, red. JOD ma prawo go nie znać.

Łączę wyrazy szacunku
Krzysztof Mroziewicz
Warszawa

moje LEKTURY

Oblicza prowincji

WALDEMAR Babinicz był pisarzem polskiej prowincji. Do ukształtowania takiej formuły przyczyniła się w dużej mierze biografia autora „Listów z parafii"; Babinicz przez wiele lat mieszkał w Rożnicy, prowadząc tam znany uniwersytet ludowy. Praca pedagogiczna w środowisku wiejskim, przeważnie młodzieżowym, dostarczała niezliczonej liczby tematów „z życia". W społeczności, wśród której żył i pracował, znajdował istną kopalnię tematów, pomysłów i problemów. One właśnie stanowiły zawsze najważniejsze atuty pisarstwa Babinicza.

Powiedziałem, iż był on pisarzem polskiej prowincji. Trzeba w tym miejscu uczynić jednak zastrzeżenie, o jakie rozumienie prowincji chodzi. Bo przecież nie o ujemną ocenę, jaką dla niektórych podsuwa słowo „prowincja". Babinicz był wnikliwym i czułym obserwatorem tego, co się w „Polsce powiatowej" działo. Umiał dostrzegać nowe zjawiska, potrafił ukazać, co się działo na granicy, gdzie przebiegało starcie między nowymi prądami a zaśniedziałością opłotkowego bytowania, między postawami młodego pokolenia wsi i jego poprzedników.

Ta problematyka najłatwiej zapewne podaje się formie powieściowej, ale jeszcze lepiej przylega do niewielkich a nie określonych dokładnie ram felietonu. Zapewnia on bowiem pisarzowi swobodę podejścia, nie zmusza do pogłębień intelektualnych. Pozwala natomiast szybko reagować na nowe zjawiska, dostrzegać ich istnienie, ukazując je w deformacji i satyrycznym przejaskrawieniu. Poetyka felietonu umożliwia także pisarzowi posłużenie się publicystyką, co na ogół trudne jest do pogodzenia z interesami literatury. Babinicz umiał na ogół te interesy łączyć.

Był on jednak przede wszystkim felietonistą i nic dziwnego, że właśnie od „Listów z parafii" jego nazwisko zaczęło się liczyć. Późniejsza proza prawie zawsze graniczyła z publicystyką, a w większości opowiadań rozpoznawało się cięte i wytrawne pióro felietonisty. Babinicz cenił konkret, fakt, szczegół, poprzez nie wypowiadał swoje stanowisko wobec wielu zjawisk współczesności. Ale nie o problemach, jakie przynoszą pośmiertnie wydane „Biesiady z kumplami", chcę pisać. Od tej strony książki Babinicza były nieraz dyskutowane, a ostatnia nie przełamuje kręgu problemowego, jaki został ukształtowany w jego poprzednich książkach.

Interesują mnie rodzaje sytuacji, jakie stwarza pisarz, oraz typy kształtowanych bohaterów. Wiele utworów z ostatniej książki budował Babinicz na zasadzie zaskoczenia, niespodzianki, które wynikają ze zburzenia stereotypu, atakują zastane nawyki, przyzwyczajenia i schematy wyobrażeniowe. W opowiadaniu „W kręgu Andersena" ukazany został cały splot takich schematów. Portret cudzoziemca, zachowanie się Polaka wobec obcego, nakładanie masek przeznaczonych na pokaz itp. Ale, że cudzoziemka jest inna, niż sobie ją wcześniej na wsi wyobrażano, więc z jej pojawieniem się maski odpadają, okazuje się bowiem, że najlepiej po prostu być stale sobą, zachować osobowość autentyczną a nie sfałszowaną dla jakichkolwiek powodów. Oto w opowiadaniu „Informatorzy" młode absolwentki etnografii udają się na wieś dla przeprowadzenia badań terenowych. Zetknięcie się z prawdziwymi ludźmi doprowadza do obalenia fałszywych pojęć o współczesnej wsi, jej mieszkańcach, stanie ich wiedzy i poziomu umysłowego. Okazuje się bowiem, iż dzisiejsza wieś dotrzymuje kroku gwałtownym przemianom cywilizacyjnym i kulturalnym. „Zmora" w dowcipny i przewrotny sposób przedstawia wygasanie reliktów folklorystycznych, które służą do zbudowania najwyżej rozweselającej anegdoty.

Podobne prawa rządzą postaciami z większości opowiadań „Biesiad z kumplami". Również one okazują się zwykle inne od przekonań na ich temat. Prosty — zdawałoby się — chłop okazuje się doświadczonym rozmówcą o szerokich horyzontach, typ podejrzany — postacią jak najbardziej dodatnią. Galeria postaci jest dosyć zróżnicowana. W niektórych utworach przemawiają jeszcze bohaterowie bardzo przez Babinicza dawniej ulubieni. Byli to typowi przedstawiciele młodzieży awangardowo (oczywiście na tle swojego środowiska) nastawionej, opozycyjnie wobec tradycji. Ukazując ich rzeczywistą czy rzekomą nowoczesność Babinicz przejaskrawiał pewne ich oceny, aż do karykatury, bowiem zamiast pewności siebie wynikającej z poczucia własnej wartości ukazywali oni tupet, zarozumiałość i całkowite zaprzeczanie odziedziczonym wartościom. Przejawiało się to choćby w stylu wypowiedzi, w nadmiarze gwary młodzieżowej, w eksponowaniu językowego „chojractwa". Widoczne jest to jeszcze w pierwszych opowiadaniach tomu. Potem tendencja ta łagodzi się, wygasza.

Zachodzi bowiem w „Biesiadach z kumplami" wyraźna przemiana: większe utwory opierają się na dialogu, na bezpośrednim uczestnictwie postaci w akcji, w zdarzeniach. Ale nie te teksty chyba decydują o wartości tomu. Ciekawsze wydają mi się opowiadania oparte na monologu albo na narracji. Ginie w nich młodzieżowy żargon, język oczyszcza się ze słów zbyt banalnych; sytuacje otrzymują wymiary i charakter kameralnej intymności, a bohaterami nie są już ludzie agresywni, mocni, ale tacy, którzy już zostali przez życie doświadczeni. Poszczególne teksty stają się coraz krótsze, coraz mniej widać pisarskiego starania, by stały się one „normalnymi" opowiadaniami. I może dlatego te właśnie przyciągają uwagę czytelnika. Świat bowiem traci w nich dawną jednowymiarowość, naiwny optymizm nie jest stałą jego cechą, a możliwości człowieka mają swoje granice. Toteż zanika dawna ironia i zgryźliwość, rezygnuje pisarz z szyderstwa i karykatury, a pochyla się nad ludźmi z zadumą i ze współczuciem.

„Biesiady z kumplami" to już druga książka Babinicza, jaka ukazała się po jego śmierci, a do tego nie ostatnia. Świadczy to o wielkim natężeniu sił twórczych pisarza, o jego ogromnej pracowitości i o nie wyczerpanych jeszcze zasobach. Ale tym bardziej warto pamiętać, iż pielęgnował on od dawna temat tzw. wiejski i to wówczas, gdy nie miał on jeszcze obecnej oceny.

Tadeusz Kłak

Waldemar Babinicz: Biesiady z kumplami. Lublin 1971. Wydawnictwo Lubelskie.

Na mahoniowym „Roztoczu"

Dokończenie ze str. 7

stoi wyraźnie: „Wejście do portu bez pilota zabronione". Jasne, że w takich warunkach nikt z portu nie dostrzegł naszej litery H podawanej światłem z topu (wierzchołka) grota i oznaczającej wzywanie pilota. Tak było do świtu, kiedy zaryzykowaliśmy samodzielne wejście. Jeszcze przed budyneczkiem bosmanatu portu próbujemy tyfonem obudzić jego pracowników, ale nadaremnie. Dopiero później okazało się, że nie spali i nawet dziwili się, dlaczego dajemy sygnały skoro mgła ustąpiła. Dowiedzieliśmy się też, że żaglowce mogą wchodzić do portu bez pilota. Tym razem cumujemy przy pomoście klubu żeglarskiego. Zainteresowanie „Roztoczem" ogromne. Ciągle ktoś je fotografuje, ogląda urządzenia, pomieszczenia, itp. Przyjmują nas po żeglarsku. Na maszcie przed budynkiem klubu obok flagi ZSRR powiewa polska bandera. Reszta podobna do pobytu w dwu poprzednich portach: zwiedzanie miasta, spotkanie z komsomolcami, uzupełnienie zapasu słodkiej wody i żywności.

Powrót do Gdyni. Spieszymy się. Zimno a przez to monotonia dają się nam we znaki. Marzymy, szczególnie podczas psiej wachty, o wygrzaniu się na piasku ciepłego morza. W Gdyni jednak także zimno i deszczowo. Pozostał więc pożegnalny obiad i na drugi dzień po uporządkowaniu łódki — wyjazd do Lublina. Trudno rozstawać się z mahoniowym jachtem. Decyzja zapada szybko i znowu jachtowy kapitan żeglugi wielkiej Tadeusz Zawadzki, tak samo jak przed miesiącem wydaje rozkaz: „Oddać rufę, oddać dziób, ster prawo, przygotować żagle do postawienia!" Wychodzimy w morze. Jesteśmy na Helu. Po powrocie jacht przyjmuje nowa załoga. Schodzimy z przekonaniem, że w przyszłym roku znowu będziemy szorowali pokład podczas „świtówki".

Ryszard Wolak

Krzyżówka nr 19

POZIOMO:

1. pisarz francuski, laureat nagrody Nobla 1957, 4. znany poeta polski, zmarły w 1933 r, 9. starożytna kraina w środkowej Italii, 10. poeta i satyryk polski okresu Oświecenia, 11. gobelin wawelski, 14. materiał zapalający, stosowany przez Amerykanów w wojnie wietnamskiej, 16. zabytkowe miasto w powiecie braniewskim, 17. zmarznięta rosa, 18. region u podnóża Tatr, po stronie polskiej i słowackiej, 20. miasto na Syberii nad Angarą, 22. łączy go prom ze Świnoujściem, 24. opera Moniuszki, 26. płótno introligatorskie, 28. będzie w Zemborzycach, 30. paryski uliczник, 33. przypinana ozdoba złotnicza, 35. dostarcza listy i czasopisma, 36. znana powieść J. Amado, 38. jadowity pajączek tropikalny, 39 fortel, 40. poeta radziecki, twórca Wasyla Tiorkina, 41. republika radziecka.

PIONOWO:

1. wybitny poeta polski, poległy w czasie bombardowania Lublina, 2. powieściopisarz śląski, zmarły w 1963 r. 3. drobny demon słowiański, 4. poemat Byrona tłumaczony przez Mickiewicza, 5. imię pisarza polskiego z okresu Odrodzenia, autora „Dworzanina polskiego", 6. nasienie, 7. kawałek smolnego drewna, symbol suchości, 8. nieprzetłumaczalny zwrot, typowy dla danego języka, 12. uzdrowisko u podnóża Gorców, 13. autor „Daremnych żali", 15. elektroda dodatnia, 19. część biblii opisująca przyszłość 21. zuch, junak, 23. czarna w kominie, 24. zatoka Morza Czerwonego, 27. zakład naukowo-badawczy, 29. najwyższy szczyt Beskidu Niskiego, 31. substancja palna używana do wytwarzania energii, 32. ssak z rodziny łasicowatych, 34. krakowski barbakan, 35. wiatr równikowy, 37. na polach w czasie żniw.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki nr 17.

POZIOMO:

Kochanowski, gram, Kraków, Białystok, starzec, Zan, obraz, Turgieniew, stopień, reaktor, Kisielowsk, wezyr, POM, klasyka, składanie, oracje, idol, falsyfikaty.

PIONOWO:

koks, Czantoria, nawóz, Wybicki, Kraszewski, ratler, Makuszyński, Tyrnowo, itr(wspak), Starowolski, narkomania, inwokacja, torpeda, sekwens, los, ziółko flora, (wspak), Łapy.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 17 nagrody książkowe wylosowali: Julian Kania, Rzeszów, Kniewskiego 6/2; Jadwiga Sadowska, Lublin, ul. Sławińskiego 3/5; Bohdan Bisikiewicz, Wrocław, ul. Rejtana 8/3; Sabina Wasiutyńska, Biała Podlaska, Witorożska 32a/2.

NOTY i notki

„Przyczepił się" do nas „Żywocik Literacki" („Życie Literackie" nr 32), że wydrukowaliśmy wiersz autora lubelskiego, który ma takie samo imię i nazwisko, jak pewien poeta krakowski i takie samo nazwisko oraz jedno z imion, jakie ma inny poeta. Z notki można odnieść wrażenie, że powinniśmy się zamienić w urząd stanu cywilnego, który już noworodkom, kandydatom na poetów, będzie dobierał odpowiednie imiona. Osobiście znam dwóch mieszkańców Lublina — Adama Mickiewicza i Henryka Sienkiewicza, a także Jaremę Wiśniowieckiego. Na całe szczęście, jak dotychczas, dwaj pierwsi nie pisują, poza listami i sprawozdaniami, żadnej literatury, a trzeci ani nie wojuje ani nie wiesza. Ale jeżeli zacznie wbijać na pal?

„Express Wieczorny" (nr 186) pisząc o produkcji motocykli w Świdniku dał taki podtytuł: „Cel: milion sztuk w 1980 roku". W tekście zaś: „Projekty pianistów, ekonomistów i konstruktorów dążą do tego, aby roczna produkcja WSK Świdnik do roku 1980 wyniosła 1 000 000 sztuk motocykli rocznie". Nieprawda. W Świdniku nikt o tym nie myśli, bo to po prostu niemożliwe, aby w ciągu 8 lat dwunastokrotnie zwiększyć produkcję motocykli. Po drugie — gdzie znaleźć tylu klientów, zwłaszcza po podjęciu produkcji samochodu popularnego? W Świdniku planiści, ekonomiści i konstruktorzy właśnie martwią się, czy będą mogli osiągnąć granicę 100 000 sztuk motocykli rocznie.

Sam prezes Centralnego Zarządu Spółdzielni Mleczarskich napisał w „Trybunie Ludu" (nr 222), że w nowej lubelskiej mleczarni wyposażenie „w linię do produkcji twarożków homogenizowanych celowo planowane jest w późniejszym terminie. Obecnie zapotrzebowanie Lublina nie przekracza 0,4 tony dziennie". Szanowny panie prezesie — przyjedź pan do Lublina i spróbuj pan, poza kilku sklepami, raz w tygodniu, kupić chociaż gram twarożku homogenizowanego. Ktoś pana okropnie buja, a pan w to wierzy i w dodatku hamuje podjęcie produkcji tak poszukiwanego artykułu.

JOD

„SZTANDAR LUDU" zaostrza krytykę, uzbraja się w pazury. W n-rze z 20 sierpnia na ostatniej stronie wydania miejskiego przeczytaliśmy: „Znowu przypadek ignorancji pasażerów przez lubelskie MPK. Wczoraj po południu wracający z pracy pracownicy FSC bezskutecznie oczekiwali na sporadycznie pojawiający się autobus linii nr 1..."

Słusznie! Bić jak w bęben pasażerów-ignorantów!

MAJ

MINUTA MYŚLENIA

Na torach polemik

DYSKUSJA na temat krótkiego filmu, jaka przez dwa miesiące zajmowała szpalty prasy nie tylko specjalistycznej, jest dla mnie ciekawa nie tyle ze względu na swój przedmiot, co wywołaną atmosferę pozornego ożywienia. Obojętnie jak się sprawa przedstawia i kto ma rację, samo napięcie polemiczne wystarcza na to, żeby było co czytać. Bohdan Kosiński na Festiwalu Krótkich Filmów w Krakowie otrzymał Grand Prix, co z entuzjazmem przyjął filmowy krytyk Zygmunt Kałużyński, co z kolei stało się kością niezgody między wymienionymi. Nagroda w kieszeni, laureatowi jednak nie wystarcza będąca przecież wyrazem szerszego uznania opinia jury wyróżniająca ten film spośród 60 nadesłanych, ale ma pretensję o epitet „środkowy", co podobno negeluje szereg zalet filmu, a przede wszystkim ambicję odkrywczości i nowatorstwa jego reżysera. Filmu nie miałem niewysłowionego szczęścia oglądać, znając jednak sposób postępowania krytyki nie tylko filmowej skwapliwie podnoszącej do rangi wydarzenia najbłahszy rezultat pozy i maniery, z umiarkowanych określeń Kałużyńskiego nie wyciągam wniosku o rewelacyjności onych sfilmowanych torów. Wydaje mi się, że „zagryw" Kosińskiego mieści się w repertuarze wypróbowanych środków taktyczno-polemicznych stosowanych na terenie naszego życia artystycznego. Kałużyński pochwalił? Cóż za gratka zaoponować przeciw krytykowi, którego przecież ma się prawo „zaliczyć" jako swego sojusznika. W ten sposób wszystko, co się powie, automatycznie staje poza zasięgiem podejrzeń o chwytanie koniunktury, a zyskuje aurę bezinteresownej walki o wysokie cele artystyczne. Jakiż kredyt mają wtedy te wszystkie wyznania o potrzebie dążności do prawdziwych, a nie banalnie dających się skwitować osiągnięć. I już je nieomal w wydaniu Kosińskiego widzimy. Oto co się nazywa jednym pociągnięciem skoczyć powyżej nagrody, a zarazem owinąć się w pelerynę twórcy nawet w pochwałach nie docenianego przez krytyka.

Jednego tylko Kosiński nie zauważył. Oto tego, że jako autor zabiera głos w sprawie recenzji swego dzieła, czym przecież była publikacja Kałużyńskiego w tej części podsumowania festiwalowego wydarzenia i że tych wszystkich szacownych błyszczeń Kałużyński w filmie „Na torach" się nie dopatrzył, skoro nie one według niego wystąpiły jako motywacja nagrody. Pozostawało więc jedno: zadeklarować je w manifeście.

Nie jestem na tyle zainteresowany ani stanem twórczości w zakresie filmów krótkich, ani sposobem przyjęcia jej przez profesjonalistów, bym śledził umykające sedno rzeczy odwijając je ze sformułowań użytych w publikacjach prasowych. Wystarczają mi one same. Jako egzemplum pewnej atmosfery w życiu intelektualnym, jako przykład współczesnej obyczajowości. Nie dam się złapać. Nie będę konfrontował z rzeczywistością żadnych sezonowych enuncjacji mających miejsce w praktyce publikacji jak niektóre natrętnie „inteligentne" zwroty w jej języku. Większość dyskusji należy traktować po prostu jak „czytadło" — owszem, nierzadko interesujące — z którego jednak nic nie wynika.

A swoją drogą — nie wiem, po co się robi filmy krótkie. Mam na myśli dokumentalne. Przecież dokumentem żadnym nie są, raczej wyrazem przemyślności reżysera wytężającego koncept, by filmowaną rzeczywistość przedstawić w sposób możliwie najaktualniejszy, co się nie odbywa bez pokątnych aranżacji, konia z rzędem, jeśli nie rozszyfrowanych przez widza. Oglądając film „dokumentalny" w dobrej wierze za taki go przyjmując zawsze doznawałem czegoś w rodzaju degradacji. „Stary koniu, przeżyłeś parę ładnych dziesiątków lat i nie znasz najelementarniejszej rzeczywistości. Wszystko ci się wydaje powszednie, poniedziałkowe, czwartkowe, a spójrz jak ta rzeczywistość potrafi być oryginalna. Przecie to film dokumentalny"

Dopiero wynurzenia Kałużyńskiego zawarte w jego odpowiedzi Kosińskiemu utwierdziły mnie w podejrzeniu co do tego, jak się te filmy robi. Więc po co mnie panowie reżyserzy oszukują? „Nagiej prawdy" w tych filmach nie uświadczysz, bo byłaby taka, jaką ją przynosi bezpośrednie doświadczenie, natomiast element kreacji jest na tyle i z reguły nikły, że nie może występować jako autonomiczny powód zainteresowania. Więc pozostaje jedno: potrzeba zapełnienia festiwali, po których następują dyskusje stwierdzające rozbieżność stanowisk oraz fatalna niemożność wyjścia z impasu.

Nie mnie jednak powiedzieć, że dyskusje te nie posiadają swojego uroku burzy w szklance wody, albo nie przynoszą czytelniczych satysfakcji, które przecież jak zapewnia Aleksander Małachowski — nie są wykluczone przy lekturze Mniszkówny. Dlatego nie mam za złe luminarzom widowisk szermierczych zapełniających widok migotaniem cięć i ripost niezależnie od przedmiotu, który wprawdzie nie jest zasadniczy, ale którego nawet nieobecność dyskusji nie przeszkadza. Następną proponuję na temat prognoz pogody autorstwa Wicherka i Chmurki.

Ijon

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Redaktor niezależnego organu pozwala sobie na gest egoistyczny. Wrócił wprawdzie z urlopu na wsi, ale jeszcze trochę chce pożyć sielskimi wspomnieniami, drukuje przeto lirykę opisową Pana J. L. z Łubnik:

w tamtej wsi
gdzie dziewcząt mrowie
(liczyć tylko trza na kopy)
szedł Franek
szedł powoli
przez tamtą wieś
baby szyby wypierały
wytłupiastymi oczyma
jak na święty obrazek
i jak na usta świętego
pragnące a nie całowane rozkoszą
a Franek wypiął swe piersi bez medalów

szedł jakby odznaczony
a baby swoim dziewkom
przywdziały krasne spódnice
i wyperfumowały wypukłe piersiska
I szedł wieczór w podkasanym blasku

baby wyły
dziewki tańczyły
a Franek ino patrzył.

Ech! Pójść tak jeszcze w ślady Franka, ino patrzeć choćby. By jednak nie było tak całkiem wesołutko, zacytujmy wiersz Pana J. B. z Rejowca z cyklu „Rozterki miłosne", który pośrednio udowadnia, że istotnie lepiej patrzeć tylko:

Jeśli mi nucisz pieśń,
nie śpiewaj o miłości.
Nie wierzę w jej treść,
lecz gorycz bez litości.
Zanuć mi pieśń o smutku,
pieśń niespełnionych marzeń.
W to wierzę, to kocham,
to coś z ostatnich wydarzeń.

Z mieszanymi uczuciami oczekujemy przyszłorocznego urlopu.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ KŁAK, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamali: JERZY RZEPECKI i MIECZYSŁAW KASPEREK.

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 274-25

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 2139. 24.VIII. 71. 2148 A-5

Jak kreować wielki reportaż krajowy?

Jerzy Wittlin

PRZEDSTAWIAMY poniżej — do wyboru — dziewięć próbek podstawowych kreacji wielkiego reportażu krajowego. Dla ułatwienia wyboru wszystkie próbki kreacji przedstawiamy na jednym i tym samym przykładzie, którego treścią jest rozkład moralny, jaki zaistniał w wytwórni wód gazowych.

Kreacja pierwsza — Wybielająca

„Uczeni wszystkich krajów, od lat już głowią się nad tym, w jaki sposób, w warunkach laboratoryjnych, stworzyć substancję białkową. Niestety, starania te nie zostały jeszcze uwieńczone powodzeniem. I tym właśnie, w głównej mierze, tłumaczyć należy powtarzające się od czasu do czasu (na szczęście w naszych warunkach niezbyt często) fakty, które mają prawo nas zasmucić. Przyjrzyjmy się tym faktom. Na ogół bohaterami ich są z jednej strony kobieta, z drugiej zaś mężczyzna. Jedna kobieta? Dwie kobiety? Jeden mężczyzna? Wielu mężczyzn? Te szczegóły nie są już istotne dla samego faktu. Co najwyżej mogą one odgrywać jakąś rolę w ocenie ilości, ale nic ponadto. Nie istotne wydaje się również miejsce, w którym fakt — czy jak kto woli — fakty te miały miejsce. Skoro sytauacja, z tych czy innych powodów dojrzała, gdzieś musiały one przecież mieć miejsce. A to, czy miały one miejsce w pokoju hotelowym, na łące — czy jak w tym konkretnym wypadku — na biurkach i na dywanie, jest sprawą drugorzędną, zwłaszcza jeśli zważyć powszechnie znane trudności hotelowe, jakie przeżywamy, jak również i to, że działo się to wszystko w grudniu, a więc w porze roku, kiedy łąki — z którymi w odróżnieniu od hoteli trudności nie mamy — są praktycznie, dla celów rekracyjnych, niedostępne. Tak więc bez sztucznie podnieconej atmosfery taniej sensacyjności i problematycznej pikanterii przedstawiają się rzeczywiste okoliczności tej „sprawy".

Kreacja druga — Oczerniająca

„Miejscowość nazywa się... — zresztą czy to istotne, jak się nazywa? Z całym spokojem napisać mogę Warszawa, Kraków, Łódź i ... przepisać pozostałe jeszcze parę tysięcy nazw z mapy administracyjnej kraju, bez obawy popełnienia jakiejkolwiek omyłki. Nie istotne są również: rok, miesiąc, godzina. Takie fakty zdarzają się wszędzie o każdej godzinie. Dlaczego więc piszę dziś o tym jednym fakcie? Najprawdopodobniej któryś z uczestników (a raczej uczestniczek!) nie został w pełni usatysfakcjonowany i narobił szumu. Zdarza się. Nieraz. A to z kolei posłużyło do odkrycia, że takie rzeczy w ogóle u nas mają miejsce. Wielkie mi odkrycie! Chciało by się wręcz zawołać — Kolumbowie! A może służbowe biurka i dywany, jako miejsce uprawiania tego procederu spowodowały ten szok? Nie u nas, panowie, nie u nas!"

Kreacja trzecia — Insynuacyjna

„W tej ponurej sprawie o wiele istotniejsze od tego „co", jest niewątpliwie uświadomienie sobie „kto". „Co" — zakładam, że każdy mężczyzna i każda kobieta, nawet nie posiadający większej fantazji na ogół potrafią już sobie — przynajmniej w grubszych zarysach — wyobrazić. Natomiast „kto" — na to już fantazji ma prawo naszym czytelnikom zabraknąć. Uczestnikami tych dywanowo-biurkowych orgii erotycznych nie był bowiem goniec wytwórni, ani sprzątaczka, ani nawet jej dozorca nocny (z tytułu samych tylko godzin pracy, wydawałoby się najbardziej predestynowany do uczestnictwa w tych zajściach człowiek). Uczestniczył w nich szef wytwórni, jego trzej zastępcy (techniczny, administracyjny i handlowy), kierownicy (planowania, zaopatrzenia i zbytu), kilka osób (przeważnie kobiety) z personelu kancelaryjnego i księgowość in corporé pod wodzą głównej księgowej, osobiście. Ale wymienienie tylko stanowisk służbowych uczestników tych zajść daleko sprawy nie wyczerpuje. Dopiero ujawnienie tego, dzięki komu, dzięki czyjej protekcji na wszystkie te stanowiska trafili ci ludzie, jakie osoby w istocie kryją się za każdym z tych ludzi, może rzucić pełniejsze światło na tę sprawę. Bo o nie byle jakie osoby tu chodzi! Pracownica rady narodowej powiązana bliskimi więzami rodzinnymi z kierownictwem wytwórni to, niestety, jeszcze nie cała prawda. Te bliskie powiązania, niekoniecznie zresztą rodzinne w dosłownym tego słowa znaczeniu, sięgają zresztą o wiele dalej i — nie owijając sprawy w bawełnę — najprawdopodobniej o wiele, wiele wyżej".

Kreacja czwarta — Sensacyjna

„Niewielki barak na przedmieściu, pamiętający jeszcze czasy II wojny światowej. Z długiego korytarza, przez czwarte drzwi na prawo wchodzimy do sekretariatu kierownika. Sekretariat, jakich setki tysięcy w naszym kraju: biurko, parę foteli, szafka z aktami, stolik z maszyną do pisania. Nic, absolutnie nic nie świadczy tu o tym, że dosłownie przez ścianę, za jednoskrzydłowymi drzwiami obitymi brązowym linoleum, działo się „To". Ze zrozumiałym wstrętem naciskam klamkę tych drzwi. Poddają się bez trudności. I oto wzrok mój pada na „To" biurko i na „Ten" dywan, dziś już tylko niemych świadków tych zdarzeń. Z łatwością dostrzegam zupełnie niedwuznaczne fałdy na „Tym" dywanie. Nie pozostawia również najmniejszych nawet wątpliwości biurko. W odróżnieniu od innych, setek tysięcy, tego typu mebli w całym kraju, uginających się pod stosami akt, zarządzeń i notatek. „To" biurko jest zupełnie puste, a swoim — nie przypadkiem chyba — rozłożystym kształtem harmonijnie komponuje się z „Tym", co się na nim wyczyniało. W pokoju panuje duchota, jakże charakterystyczna i znana nam „Skądinąd" duchota... Towarzyszący mi w oględzinach młody, rosły i przystojny milicjant na pewno ma kochaną i kochającą go narzeczoną, a kto wie, może nawet i żonę. W swojej trudnej i pełnej poświęcenia codziennej, żmudnej pracy widział już niejedno. A jednak, kiedy rzucam na niego wzrokiem, zupełnie wyraźnie widzę wykwitające na jego policzkach rumieńce wstydu i zażenowania, które niezręcznie usiłuje ukryć pod daszkiem swojej służbowej czapki".

Kreacja piąta — Analityczna

„Statystyki Narodów Zjednoczonych obejmujące zgwałcenia, morderstwa popełnione na tle seksualnym, nałogowych użytkowników środków dopingujących i zarejestrowaną prostytucję posiadają ogromną lukę, nie obejmując czynnych i biernych uczestników orgii seksualnych w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców czy chciażby tylko na głowę ludności. W tej sytuacji trudno o sformułowanie jakiejś bardziej wiążącej opinii na temat, czy jesteśmy w tej dziedzinie krajem przodującym, czy mamy prawo zaliczyć się w tej dziedzinie do światowej czołówki, czy też wleczemy się w ogonie, gdzieś na ostatnich miejscach wśród krajów najbardziej w tej dziedzinie zacofanych. Brak miarodajnych danych w tej sprawie stwarza więc poważny dylemat: czy bić na alarm z powodu wykrycia tego lub innego ogniska seksualnej swobody czy też przyjmować te fakty zupełnym milczeniem, nie chcąc jeszcze bardziej i to w sposób sztuczny pomniejszać i tak nieznanego wskaźnika procentowego. Co prawda liczba uczestników orgii w tym konkretnym wypadku była stosunkowo wysoka, ale nic, niestety, nie wskazuje na to, że była to liczba typowa. Wprost przeciwnie: wszystko świadczy raczej o tym, że typowe orgie mają miejsce w mniejszych kolektywach, a więc nie ta jedna wielka, ale większość tych małych orgii w sposób zdecydowany określają przeciętną uczestników.

Kreacja szósta — Uczuciowa

„Z. ma lat 29 i jest dobrą matką trojga dzieci w wieku od lat 3—5, z których najstarsze przechodziło dwa lata temu ciężką chorobę szkarlatynę, środkowe jak gdyby lekko się jąkało, zaś najmłodsze — na pierwszy rzut oka — robi wrażenie, jak gdyby miało wodogłowie. W. ma lat 45 i jest już od co najmniej 28 lat niezamężna. K. ma lat 52 i przed 28 laty miała niezwykle ciężkie przeżycie, tak ciężkie, że nawet dziś, po upływie tylu przecież lat, nie chce o nim mówić... C. ma lat 30. Piąty raz mężatka, po nieudanym pierwszym, po nieudanym drugim, po nieudanym trzecim i po równie nieudanym czwartym małżeństwie. F. ma lat 21 i za sześć miesięcy spodziewa się dziecka od mężczyzny, którego rada by, co najmniej raz jeszcze, kiedyś zobaczyć. D. ma lat 45 i kochających ją rodziców, którzy poza swoją „Puśką", jak ją pieszczotliwie nazywają, świata bożego nie widzą. Tyle uczestniczki tej orgii. Przypatrzmy się z kolei jej uczestnikom".

Kreacja siódma— Syntetyczna

„Do wytwórni wód gazowych, która stała się miejscem orgii, z udziałem siedemnastu osób, przyjechałem wprost z odległej tylko o 18 kilometrów leśniczówki K., która była świadkiem gwałtu dokonanego przez trzech młodocianych drwali na niepełnoletniej jeszcze córce gatrowego z tartaku. Do leśniczówki tej przyjechałem już na sam koniec śledztwa, ponieważ dochodzenie w sprawie zgwałcenia w miejscowości L. nieletniego chłopca przez trzy — mocno już zaawansowane wiekiem panie, przy którym byłem obecny, przeciągnęło się nieco. A przeciągnęło się ono dlatego, że po dłuższych poszukiwaniach udało się wreszcie ustalić w Z. adres domu schadzek, do którego starsi raczej panowie zwabiali uczniów z klas siódmej i ósmej położonego w pobliżu gimnazjum. (Gimnazjum to zresztą przed niespełna miesiącem było świadkiem skandalu, jaki wyniknął w związku z ujawnieniem bardziej niż intymnych stosunków łączących dwie nauczycielki z pięcioma uczennicami klasy ósmej). Niewątpliwie wszystkie te przytoczone przeze mnie i nie przytoczone przeze mnie, ale podobne wypadki, w jakiś sposób się sumują".

Kreacja ósma — Zwierzenie

„Nie uczestniczyłem w orgii, jaka miała miejsce na terenie wytwórni wody sodowej, ale z niezwykłą wprost łatwością mogę sobie odtworzyć jej przebieg. Dwa miesiące wcześniej, w odpowiedniej charakterystyce, tak aby nie zdradzić ani mojego zawodu, ani też prawdziwego celu mojej wizyty, miałem przyjemność uczestniczyć w podobnej orgii. Dzięki temu dziś, z wszystkimi szczegółami mogę opisać, jak taka orgia seksualna wygląda w rzeczywistości. Orgia, w której uczestniczyłem, odbywała się w trzypokojowym mieszkaniu z kuchnią i łazienką położonym na dziewiątym piętrze punktowca. Punktualnie o dziesiątej wieczorem, zadzwoniłem do drzwi dwa razy krótko i raz długo. Drzwi się otworzyły, a ja znalazłem się w zaimprowizowanej w przedpokoju szatni. Była to jednak dosyć niezwykła szatnia: zostawiało się w niej nie tylko wierzchnie okrycia, ale od razu całą garderobę, jaką tylko człowiek miał na sobie. W pierwszej chwili trochę zaskoczony, później zrozumiałem celowość tego pełnego strip-teasu od razu u wejścia do mieszkania: brak odzieży znakomicie ułatwiał uczestnikom tej orgii wszelkie ruchy".

Kreacja dziewiąta — Informacyjna

„Dosłownie pięć minut po przyjeździe (trzy przesiadki!) do miejscowości N. rozmawiam już o tej sprawie z Z-cą Naczelnika Stacji. (Naczelnik Stacji jest na urlopie!) Ją zadaję pytanie, Z-ca Naczelnika Stacji odpowiada. Pół godziny później siedzę już w gabinecie Przewodniczącego Rady Narodowej. Sytuacja się powtarza: ja zadaję pytania, Przewodniczący Rady odpowiada. W gabinecie Sekretarza Partii, godzinę później, spotykam Komendanta MO. Rozmawiamy więc we trójkę przez bite dwie godziny. Ja staram się mówić jak najmniej. Po prostu pytam. Inaczej zupełnie Sekretarz Partii i Komendant MO. Oni na zmianę, po prostu odpowiadają. Po dwóch godzinach rozmowy jeszcześmy tematu nie wyczerpali — niestety. Sekretarz wyjechać musi do Województwa na naradę. Komendant MO do Województwa na odprawę. Ale ja nie daję za wygraną i kolejną wizytę składam Kierownikowi Ośrodka Zdrowia, aby jego z kolei zapytać, co on, lekarz-praktyk, sądzi o tej całej sprawie. U Kierownika Ośrodka Zdrowia poznaję Dyrektora Miejscowej Szkoły. Korzystam więc z okazji i jego również, kilkoma pytaniami, wciągam do rozmowy na interesujący mnie temat. Anim się obejrzał, jak wybiła już czwarta na ratuszowym zegarze. Żegnam się więc czym prędzej z moimi rozmówcami i w drodze na dworzec (ostatni pociąg mam za godzinę!) wpadam do miejscowej restauracji coś przekąsić. Jeszczem nie skończył zupy, kiedy do stolika mojego przysiada się Proboszcz Miejscowej Parafii. Już wie, że tu jestem, już wie, że interesuję się tą sprawą. Nie pytany przedstawia mi swój punkt widzenia. Ostatnią rozmowę na ten temat prowadzę już w pociągu z jakąś panią. Okazuje się, że ona najlepiej ze wszystkich moich rozmówców zna szczegóły tej sprawy. Po jakimś czasie przychodzi mi do głowy genialna myśl: nie ulega kwestii, że musiała ona osobiście uczestniczyć w tej orgii, że jest ona po prostu jedną z jej bohaterek. Niestety! Myśl ta przyszła mi do głowy dosłownie o jedną stację za późno".

(Z tomu „Vademecum żurnalisty" przygotowanego dla Wydawnictwa Literackiego w Krakowie).

Józef Prutkowski

Tabu

Mędrzec w cieniu baobabu
Gada tak okropnie mętnie,
Że chcę ukłuć, niechaj pęknie!
Lecz mi mówią: — Zostaw. Tabu.

Wieszcz spod rodzimego grabu,
Wieszczy bzdet jak stąd do Młocin.
Pragnę zawyć: dość wypocin!
Lecz mi mówią: — Zostaw. Tabu.

Arcynowoczesny Nabu—
chodonozor wali tęgo
W sztukę. Zdemaskować chcę go.
Lecz mi mówią: — Zostaw. Tabu.

Niech-że was pochłonie Hades!
Pozwólcie, że wreszcie palnę
To bałwaństwo nietykalne...
Mówią: — Już za późno. Tabes.

Uwaga

Jeden na szczeblu, drugi w skali
Na stanowisku trzeci
Roztrząsali
dyskutowali
analizowali
Sprawę krytyki w gazecie.

Pierwszy, nerwowy blondyn —
Petit doradzał żywo.
Drugi wołał: garmondem!
Trzeci kwiczał: *kursywą!*

Więc pierwszy znów: — naszym celem
Skuteczność, nie tłusta poza.
Głosuję za nonparelem.
Koledzy, kto przeciw a kto za?

— Ja przeciw — rzekł trzeci — bo przecie
Nonparel, jak wiecie, to śmiecie,
Burgos to rzecz arcyprzednia.
A na to drugi: — bredni!

— Bić krytyką, ostrzej, śmielej!
— Bić! My na to jak na lato!
— Bić *kursywą!* — Nonparelem!
— Osioł! — Kacyk! — Cynik! — Matoł!

Lecą gaffy i fidonki.
Nie wiedzą już zadyszani,
Że jeden pomieszał czcionki,
Drugi kradnie je garściami..

A to jasne jest jak słonko,
Nawet dzieci dojrzeć mogą,
Że nie ważne j a k ą czcionką,
Ale z a c o bić i k o g o?

Bij petitem i nie ustąp!
Niech kursywą płoną rymy!
A najlepiej czcionką tłustą,
Byle nie od wazeliny!

Odpowiedzi redakcji

M. A. W LEGNICY. Opisuje Pan i opisuje, a — naszym zdaniem — nic z tego nie wynika: ani jakieś głębsze informacje o świecie i ludziach, ani jakaś satysfakcja estetyczna. Niezbyt nas wzruszyły owe „twórcze plony podróży po zielonej i słonecznej Ziemi Lubelskiej", toteż bez żalu rezygnujemy z nich na korzyść którejś z wrocławskich redakcji, dziwiąc się tylko, że od razu tam Pan nie probował szczęścia. Krajani zawsze łaskawsi.

P. J. W POZNANIU. Przy oddziale ZLP jest Koło Młodych, przy Kole Młodych jest klub literacki, do klubu literackiego należysz Ty, a właściwie Pan (bo, jak się dowiadujemy, 18 lat już stuknęło). Czyli — wynika z listu — jest to „coś poważniejszego". Sprawa istotnie nie wydaje nam się beznadziejna, aczkolwiek za wiele jeszcze skłonności do łatwych a banalnych poetyzmów w rodzaju: „rozpłomienienie duszy", „bezkresy serc", „płomień lęku" etc. Za pół roku chętnie przeczytalibyśmy jakieś nowe teksty, ale nie wcześniej.

P. M. N. w Warszawie. O nadesłanych tekstach radzibyśmy porozmawiać z Panem osobiście. Nie żeby całkiem złe były, tylko jakieś dziwne. Rozgoryczenia w nich za wiele, refleksji za mało. Może znajdzie Pan okazję do lubelskiej wizyty. Nie takie w końcu odległe miasta nas dzielą. Zdaje się, że posiadamy jakieś Pańskie teksty w zapasie, może z nich skorzystamy. Tak czy owak — prosimy nie poprzestawać na ostatniej przesyłce, choć jeszcze sezon ogórkowy i lenistwo wakacyjne ogólnie się pleni.

W. W. W LUBLINIE. Całkowicie podzielamy Pani szlachetne przekonania. Nie dziwnego zresztą, bośmy wszyscy Polakami i na rozwoju naszej ojczyzny musi nam zależeć. Całkiem już inna sprawa, że — jak wielokrotnie mieliśmy okazję pisać w tym miejscu — same szlachetne intencje nie wystarczą do skonstruowania wiersza. A już tematyka patriotyczno-społeczna szczególne tu kryje pułapki. O fałszywy patos łatwo, o banalność sformułowań tak samo. Niestety, nie udało się Pani uniknąć tych zasadzek, o czym z przykrością informujemy.

K. M. S. W OLSZTYNIE. Przede wszystkim nie tygodnik, lecz dwutygodnik, o czym wypadałoby wiedzieć, skoro mieni się Pan stałym naszym czytelnikiem. A wiersze słabe. Żywiołów opisowych nie potrafi Pan poskromić, refleksją nie chce rządzić się Pańska muza zupełnie. Nie jest to pomyślna perspektywa rozwojowa. Z nadesłanych tekstów nie skorzystamy.

W. S. W ZWIERZYNCU. Zwykle tego typu sprawy załatwiane są niejako globalnie i za pośrednictwem Stowarzyszenia Twórców Ludowych. To nam bardzo ułatwia pracę. Nie widać powodów, dla których mielibyśmy odstąpić od owej zasady w Pańskim przypadku. Pozdrawiamy serdecznie.

P. W. W WARSZAWIE. Widać, że pilnie czytujesz lektury zadane na lekcjach języka polskiego. Teksty Twoje utkane z samych tylko zaległości historyczno-literackich. Talentu twórczego nie potrafiliśmy się dopatrzeć, raczej zdolności odtwórcze. A w Twoją lekturę współczesnej poezji ośmielamy się wątpić. Powstaje też pytanie, jak lepiej „wszcząć trud oręża polskiego": słabym wierszykiem czy piątką z matematyki?